

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII

Warszawa, 4 listopada 1951

Nr 44 (310)

Teodor PARAVY

tłum. M. D. DOBRACZYŃSKA

W niebie spotkamy naszych bliskich

NADCHODZI chwila, kiedy człowiek kończy swą ziemską pielgrzymkę; ciało i dusza, które dłużej czy krócej podróżowały razem, rozdzielają się, by kiedyś w dniu zmartwychwstania połączyć się ponownie. Będzie to czas, kiedy Królestwo Boże zapowiedziane przez Chrystusa zapanuje w wieczności.

Łos jednak każdej istoty ludzkiej jest już zdecydowanie przesądzony w momencie jej śmierci; wybór jest dokonany: dusza nieśmiertelna, zgodnie ze swym postępowaniem w życiu ziemskim, podąża do Boga, którego pragnęła i któremu służyła, albo pozostanie na wieki odtrącona od Boga, którego nie chciała znać lub którym pogardzała. Człowiek ma więc tylko te dwie drogi do wyboru.

Dusza ludzka, opuściwszy ciało, nie czeka chwili zmartwychwstania, aby ponieść całkowitą odpowiedzialność za swe postępek. Mgr Chollet opisuje w bardzo wyrazistych określeniach stan, w jakim może znaleźć się dusza po śmierci: „Miłość bez cierpienia — to niebo. Cierpienie bez miłości — to piekło. Cierpienie połączone z miłością — to czyściec”.

Niepokalana Dziewica Maryja, od chwili kiedy opuściła ziemię, jest w niebie wraz z uwielbionym ciałem, tak jak powiada o tym dogmat Wniebowzięcia. Ale Apostołowie, których umęczone ciała pozostały na ziemi, połączyli swe dusze z Chrystusem w niebie, gdzie ich Pan przygotował im mieszkanie. To wszystko dotyczy również świętych, wszystkich wybranych, znanych i nieznanych, których Kościół czci w dniu Wszystkich Świętych. Są to prawdy wiary katolickiej.

Dusza nie posiadając ciała, którym by mogła się posługiwać, nie może wykonywać czynów, w których zmysły brałyby udział. Istnieje jednak możliwość pewnego działania duchowego, które zachodzi z tym większą łatwością, że dusza pozbawiona ciała bądącego jej wyrazicielem, lecz zarazem i więzieniem, rozwija się bez jakichkolwiek przeszkód.

Św. Tomasz z Akwinu usiłował przedstawić stan duszy oddzielonej od ciała. Opierając się na tak pewnym przewodniku nie naraził się na zbłądzenie.

Musimy się więc wystrzegać pojęcia, że dusze wybrane, uważane w potocznej mowie za „zgulone w Bogu”, dążą do zlania się z Bogiem w formie jakiegoś pantetyzmu spirytualistycznego. Każda dusza ma swoją charakterystyczną osobowość. Na ziemi ludzie różnią się nie tylko odmiennymi twarzami czy postaciami, ale również właściwościami duszy i zdolnościami umysłowymi. Dusze wy-

brane, nie czekając na moment zmartwychwstania ciała, odnajdają się i poznają w niebie. Aniołowie różnią się między sobą, znają się, wymieniają między sobą myśli, podobnie musi dziać się z duszami ludzkimi wywołanymi z ciała, które łatwiej, niż na ziemi, mogą wypełniać słowa pisma: Uczyniłeś Panie człowieka nie wiele niższym od Aniołów.

Dusza zabiera na tamten świat swe wspomnienia. Jest to pierwsze źródło jej dalszego życia intelektualnego. Księga Mądrości mówi nam o potępieńcach umęczonych wspomnieniem swych złych czynków. Podobnie i zły bogacz z przypowieści ewangelicznej nie zapomniał o swych żyjących braciach, ostrzegając ich, by oszczędzić im kary, która jego spotkała.

Jest zrozumiałe, że wspomnie-

nia zbawionych są wyrazistsze niż wspomnienia potępionych. Nasi zmarli u tronu Bożego myślą o tych, z którymi żyli; towarzyszą nam w naszej cierniowej pielgrzymce. Oczekują nas, wzywają, żyją z nami aż do dnia, w którym połączymy się z nimi, aby już nigdy się nie utracić. Z kolei my po śmierci będziemy to czynić dla tych, których zostawimy na ziemi. „Dusza — pisze św. Paulin z Noli — nie może zapomnieć, że nigdy nie umrze”. Jakże wielką pociechą jest świadomość, że śmierć, która rozdziela ciała, nie jest w mocy rozłączyć dusz! Jeżeli wierzymy w to w odniesieniu do świętych kanonizowanych, których wzywamy w swych modlitwach, zgodnie ze słowami św. Teresy z Lisieux, która pragnęła „żyć w niebie, czyniąc dobrze z ziemi”, dlaczego nie

mielibyśmy wierzyć w to w stosunku do naszych bliskich zmarłych? Są oni może mniej blisko Boga, ale są za to bliżej nas i powinniśmy stale modlić się, rozmawiać i radzić się ich podobnie jak Andromacha, która przed każdą decyzją szła szukać rady na grobie męża. Nie zwalnia nas to jednak od ciągłej modlitwy o ich zbawienie, ponieważ nigdy nie wiemy, czy osiągnęli już wieczną szczęśliwość, czy też jeszcze oczyszczają się, by stać się godnymi oglądania Boga twarzą w twarz.

Musimy pamiętać, że dusze wybrane mają również jakieś inne źródło poznania dla swego życia intelektualnego. Śmierć zamyka oczy człowieka na zjawiska ziemskie. Otwierają się natomiast przed duszą nowe horyzonty nieba. Podczas, kiedy na ziemi poznajemy

Boga, jak mówi św. Paweł, tylko jakby „w zwierciadle”, wybrani widzą Go „twarzą w twarz”, odczuwając szczęście nie pozostawiające miejsca na jakikolwiek żal lub bolesne wspomnienie, przepelnieni światłem i miłością promieniującą z Trójcy Przenajświętszej. Jakże cudownym odkryciem jest dla nich Chrystus uwielbiony i Jego Matka!

Świat aniołów staje się im bliższy, współżyją z całą masą wybranych promieniujących miłością. Wizja ta oraz wspomnienia przyniesione z ziemi stanowią dodatkowy element szczęścia wynikającego z kontemplacji Boga, podobnie jak świat stworzony jest przyczynkiem do chwały Bożej, która przecieży Jego nieskończoności nie jest konieczna.

*

Śmierć zwróci nam poniekąd tych, których utraciliśmy, ale serce nasze zapytuje: „co stanie się z naszymi uczuciami ziemskimi, jeżeli Bóg wypełni całkowicie nasze istnienie”?

I tu wiara chrześcijańska usprawiedliwia i umacnia nasze słuszne żądania.

Bez wątpienia właściwe szczęście w niebie polega na oglądaniu, posiadaniu i kochaniu Boga. Ale przykazanie miłości nawet tu na ziemi nie każe nam kochać tylko i wyłącznie Boga. Jest nakazane kochać w Bogu, dla Boga, i nigdy przeciw Bogu. Bliźni jest również przedmiotem nakazu miłości, a z pomiędzy bliźnich przede wszystkim ci, z którymi jesteśmy połączni węzłami krwi lub przyjaźni.

Jeżeli by nawet wiara i nadzieja przystawały przed progami raj — miłość jest cnotą wieczności. Miłość Boga wypełnia dusze wybrane nie pozbawiając ich zdolności kochania. Błogosławieni miłują się między sobą więcej nawet niż na ziemi, gdzie miłość często jest zaciemniana przez egoizm lub przez namiętność. Zdolność kochania swych bliskich pomnaża się w atmosferze miłości przepelniającej niebo, w pełni błogości, która musi przemienić się w dobroć, w pragnienie zbawienia nawet dla grzeszników, których nawrócenie raduje całe niebo. Dzieje się tak dlatego, że chwala, podobnie jak i Łaska, nie niszczy natury, ale oczyszcza ją i doskonali.

Matka będzie nadal kochać swoje dzieci, które nie przestaną ją czcić; rodzeństwo będzie się radować, odnajdując się w niebie; przyjaźnie szczerze i głębokie uzupełnią ten dosyt szczęścia. Małżonkowie zaślubieni przed Bogiem, którym wierna miłość upiększała życie, nie będą rozdzieleni przez miłość Boga, który ich połączył. Ich czułość nie będzie mogła wy-

(Dokończenie na str. 2)

Świętych obcowanie

LISTOPAD. Miesiąc zamierającej, ale równocześnie zbierającej siły do nowego rozkwitu przyrody. Jest on ostatnim miesiącem roku kościelnego. Na nim zamyka się krąg liturgicznych uroczystości. Nie bez głębszych przyczyn, mających źródło w tym fakcie przenosi papież Grzegorz IV uroczystość Wszystkich Świętych z miesiąca maja na miesiąc listopad. Jest bowiem to święto ukoronowaniem roku liturgicznego, jest uroczystością tych, co dobiegłszy do mety, otrzymali koronę zwycięstwa, ale jest i ukoronowaniem życia Jezusa Chrystusa, nazywanego w liturgii Koroną Wszystkich Świętych.

Rok liturgiczny zawiera w sobie całą historię najistotniejszej sprawy ludzkiej jako jest tajemnica Odkupienia. Upatek pierwszych rodziców w raj, obietnica Mesjańska, przyjście na świat Zbawiciela, jego męka, jako centralny punkt dziejów duszy ludzkiej wreszcie nieustannie działanie Ducha Świętego — Uświęciciela — oto zrebry roku liturgicznego. Ale wcielenie Chrystusa Pana się nie skończyło. Rozpoczęła się sprawa Ducha Świętego w domu nazaretańskim wypełnia się ostatecznie w uświęceniu dusz tworzących tę społeczność Bożą, którą zwiemy Kościołem albo Mistycznym Ciałem Chrystusa Pana.

W lekcji na uroczystość Wszystkich Świętych ogląda autor Apokalipsy w ekstatycznej wizji dusze uświęcone, „rzeszę wielką, której przelicyzyć nikt nie mógł, ze wszystkich narodów i pokoleń i ludzi, i języków, obłożonych w szaty białe”. Wszyscy zaś byli „naznaczeni pieczęcią Bożą”, stwierdza dobitnie.

Tę pieczęć są sakramenta święte, zwłaszcza te, co pozostawiają niezatarty znak na duszy. Najważniejszym z nich jest sakrament chrztu. On wszczepia nas w Chrystusa. Dzięki niemu zaczyna w nas pulsować nowe życie, stajemy się częścią Mistycznego Ciała Chrystusowego i w nim się rozwijamy.

Są jednak pewne fazy tego wrastania duszy w Mistyczne Ciało Chrystusa. Jak długo przebywamy na ziemi, tak długo ta wiec z Chrystusem może być z winy każdego z nas zerwana. Trzeba ustawicznego wysiłku i ciągłej czujności, by ją w sobie zachować i utrwalić. Dopiero śmierć kończy walkę o zwycięstwo, toczącą się w każdej

duszy ludzkiej między grzechem a Łaską. Donierzo z chwilą przejścia do wieczności wrośnięcie duszy chrześcijańskiej w Mistyczne Ciało Pańskie jest ustabilizowane. Mistyczne Ciało Chrystusowe wkracza w drugi etap. Dusze przeznaczone już do chwały wiecznej oczyszczają się w wielkodusznym porwywie z najmniejszej zmały, by się upodobnić do Baranka. Trzeci etap — to kres szczepienia niekonczący się okres chwały. Ostateczny cel dusz ludzkich to obcowanie z Bogiem w niebie. Oglada go orlim wzrokiem autor Apokalipsy i słyszy pieśń, w której brzmi: „błogosławieństwo, i chwala, i mądrość, i cześć, i moc, i siła”.

Nie są to jednak trzy odrębne organizmy. To jeden organizm — poddany temu samemu rytmowi życia. Dusze w czyśćcu łakną naszych modlitw, my na ziemi potrzebujemy wstawianictwa tych, co już przeżywają w chwale u Boga. To żyje sam Chrystus, w którego wstąpieniu się ci, na ziemi i dusze w czyśćcu cierpiące i ci, co osiągnęli pełnię i świętości. Tutaj dopiero następuje najcisłe zjednoczenie z Chrystusem, jedność tak ścisła, jaka zachodzi między Ojcem Niebieskim i Synem Bożym, a o jaką się modli dla swoich w przeddzień męki Zbawiciela. (Jan, 17, 11).

Abym człowiek mógł to osiągnąć, daje mu Chrystus Pan nowe prawo, wyrażone we wspaniałym manifeście, znanym jako kazanie na górze. Ewangelia na uroczystość Wszystkich Świętych zawiera tę Magnam Chartam doskonałości chrześcijańskiej. Co ona zawiera? Rozpoczyna od nakazu przestrzegania ubóstwa w duchu. Polega ona na umiejętności odrywania się od rzeczy przemijających i na wrażliwości na to, co jest wieczne. To droga wewnętrznej skrupienia pokory, systematycznego wysiłku. Droga, na której nie można spodziewać się natychmiastowych, efektownych wyników. Przeciwnie, droga do doskonałości wędzie poprzez zawody i upadki, znaczone w pokorze.

Tej ciągłej walce towarzyszyć musi troska o sprawiedliwość i jej taknienie, miłość i miłosierdzie, wreszcie czystość intencji i pobudek, czystość serca. Tą drogą kroczył Chrystus Pan za swego życia na ziemi, to jest droga, jaka wiedzie do Niego.

Ale to jeszcze nie wystarcza do uświęcenia. Ono przekracza nasze siły przurządzone, bo uświęcenie — to uczest-

niczenie w naturze Bożej. Każdy człowiek musi za św. Pawłem uczynić to wstrząsające wyznanie: „Wiem, że nie mieszka we mnie co dobre, ale mieszka we mnie grzech. Chcieć — mam pod ręką, ale wykonać dobre, tego nie znajduję. Bo nie czynię dobrego, którego pragnę, ale złe, którego nie chcę — to czynię. Jeżeli zaś to czynię, czego nie chcę, już nie ja to czynię, ale grzech, co we mnie mieszka. Kocham się w prawie Bożym, ale widzę w mocy prawo inne, co się sprzeciwia mojemu umysłowi, i poddaje mnie w niewolę pod prawo grzechu, będącego we mnie”. Jedynym ratunkiem w tym rozdarciu duszy leży w nadprzyrodzonym działaniu w nas Jezusa Chrystusa. „Łaska Boża przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego” — ta nas zbawi (Rzym, 7, 18 i nast.). Sam Jezus przestrzega nas, byśmy się nie ludzili, że bez Niego, możemy coś, co do zbawienia konieczne, uczynić. (Jan 15, 5).

„Przez Niego, z nim i w Nim” jesteśmy, żyjemy i działamy. Przez Niego, z Nim i w Nim odbywa się nasze uświęcenie. On jest przyczyną sprawczą naszej świętości, z Nim złączeni przez łaskę, stajemy się dziećmi Bożymi, w Nim przeżywamy, jak gatunek w winnej łące, jak komórka w ciele, jak część w całości. W Nim dopiero osiągamy pełnię życia. Ale i Jezus w uwielbionej społeczności nabiera pełni. W świętych swoich staje się według wyrażenia św. Augustyna „Chrystusem całkowitym”.

Jak Boże Ciało jest świętem Jezusa Eucharystycznego; jak Boże Narodzenie i Wielkanoc jest świętem Jezusa historycznego, Zbawiciela, tak uroczystość Wszystkich Świętych jest świętem Jego Mistycznego Ciała. O ile święta Bożego Narodzenia lub Wielkanoc są rozważaniem wypadków minionych, choć decydujących o naszym życiu na wieczność całą; o ile Boże Ciało jest rozpamiętywaniem tej miłości Jezusa do człowieka, z którym chcę przebywać stale i w każdej chwili życia na ziemi; o tyle uroczystość Wszystkich Świętych jest przypomnieniem o trwającym procesie wrastania duszy ludzkiej w Mistyczne Ciało Pańskie i każe nam z autorem Apokalipsy wybiegać w daleką przyszłość, kiedy Jezus Chrystus uwielbiony będzie we wszystkich swoich świętych.

W niebie spotkamy naszych bliskich

razić się tak jak wówczas, gdy żyli w ciałach, znajdują natomiast to, co jest najlepszym w małżeństwie: miłość idealną, która ich zjednoczy najdoskonalej w dążeniu do świadczenia sobie najwyższego dobra. Śmierć nie rozłącza tego, co Bóg złączył. „Wszystkie motywy właściwej miłości, mówi św. Tomasz z Akwinu, będą trwałe w sercach wybranych”. Tylko zło i grzech będzie z nich usunięte. Kardynał Wiseman jest echem naszych serc, kiedy pisze: „Natura wzdruga się na myśl, że więzy uczuć i krwi łączące nas na ziemi mogłyby się zerwać w życiu przyszym”.

Doktryna katolicka i objawienia świętych to potwierdzają. W pismach św. Katarzyny Sieneńskiej czytamy: „Aczkolwiek wybrani są nierozdzielnie złączyli doskonałą miłością, istnieje jednak szczególne obcowanie, radośna i święta zażyłość pomiędzy nimi, którzy się wzajemnie miłowali na ziemi. Ich miłość poprzednia nie zmniejszyła się w życiu wiecznym, przeciwnie, daje im większą obfitość radości i zadowolenia duchowego”.

Św. Franciszek Salezy tak nam bliski i ludzki mówi: „Jakże wielkie za wolowanie będziemy odczuwać, spotykając tych, których za życia gorąco kochaliśmy. Przyjając, zawarte w życiu doczesnym w imię Boga, będą trwałe i w wieczności”.

Jeżeli wątpicie jeszcze, odczytajcie zachwycające modlitwy Kościoła za zmarłych. Czyż nie posuwa się On dość daleko wkładając w usta kapłana prośbę usprawiedliwiająca naszą wiarę w odnalezienie w życiu przyszym naszych bliskich: „Panie ulituj się nad duszami mego ojca i matki;

wybacz im upadki i spraw, bym ujrzał ich w radościach wiekistej światłości” (Kolekta ze mszy za zmarłych odprawianej za duszę ojca i matki kapłana).

POZOSTAJE nam wyjaśnienie losu tych, którzy uparli się, aż do samej śmierci odpychając Łaskę i miłość Bożą zaśluszyli na potępienie i karę. Czy mogą istnieć jakiegokolwiek związki między nimi a wybranymi w niebie?

Wydaje się, że jest to niemożliwe. Ewangeliczna przypowieść o złym bogaczu mówi wyraźnie o nieprzebytej przepaści, dzielącej oba te światy. Św. Paweł wspominając o potępionych, nazywa ich „unikstwowionymi” — aby stwierdzić, że dla Boga przestali oni istnieć. Podobnie w urywku Ewangelii mówiącym o sędzie ostatecznym Chrystus mówi: „Jeden będzie wzięty a drugi zostawiony” (Łuk. 17, 35), co ma znaczyć, że to nie Bóg skazuje duszę na piekło. Dusza skazuje się na nie sama, odmawiając siebie Bogu i odrzucając Boga. Bóg nie chce gwałcić wolnej woli człowieka nie narzuca się nigdy i dlatego musi opuścić niebezpieczną duszę, która, wyłączając się z miłości, sama podpisała wyrok swego potępienia: „Cierpienie bez miłości — to piekło”.

Tak realizuje się ewangeliczne: „Nie znam was”. Bóg jest miłością. Istota, która dobrowolnie się od niej uchyla, przestaje dla Niego istnieć, podobnie jak wymazuje się z pamięci naszej obraz człowieka, którego niegdyś kochaliśmy. Wpada on dla Boga i całego nieba w otchłań wiecznego osamotnienia. W ten sposób realizuje się nieskończone szczęście Boże. Nie jest ono narażone na

Dokończenie ze str. 1

uszczerbek przez istoty, które Bóg pokochał miłością ojcowską, a które tą miłością wzgardziły.

Tak samo i dusze wybrane, widząc wszystko w Bogu, nie mogą cierpieć wskutek nieobecności tych, którzy się potępilli; te dusze potępione tak jak gdyby dla nich nie istniały. Pełnia szczęścia, obiecana tym, którzy wybrali miłość, nie może być zakłócona przez istoty, które tę miłość odrzuciły. Całe niebo potwierdza Chrystusowe: „Nie znam was”.

Chyba nie potrzebuję dodawać, że to wszystko nie dotyczy czyścica. Dusze tam cierpiące wybrały miłość i Bóg na nie oczekuje.

Aby sprawę całkowicie wyczerpać i złagodzić pozornie surowości doktryny, pragnę dodać kilka uwag, podsycających naszą nadzieję w wypadku, kiedy ktoś z naszych bliskich odejdzie w zaświaty bez należytego przygotowania.

Przed wszystkim trzeba przypomnieć, że nie mamy prawa o nikim powiedzieć na pewno, że został potępiony. Dusze wszystkich zmarłych mają prawo do modlitwy żywych, a modlitwa jest wyrazem nadziei. Jeżeli więc istota kochana zostaje brutalnie oderwana od życia, nie mogąc przyjąć sakramentów świętych, lub będąc obojętna religijnie i pedząc życie w grzechach nie nawróci się widocznie na łożu śmierci, nie wolno nam jeszcze przypuszczać, że jest zgubiona na wieki, ponieważ nigdy nie poznamy tajemnic Łaski i miłosierdzia Boskiego, które często nie uwidoczniają się zewnętrznym.

Mając to na uwadze, tym gorliwiej powinniśmy się modlić i zbierać zasługi dla zmarłych, których zbawienie może nastęczać nam wątpliwości.

Nasze modlitwy i uczynki mogą działać wstecz i dobro, które obecnie czynimy, ofiarowując je na intencję zbawienia kochanej istoty, Bóg w swej wszechwiedzy policzy na korzyść tej duszy już w momencie jej śmierci.

Nie zapominać, że dla Boga nie istnieje pojęcie czasu, zdarzenia nie mają tej kolejności ani następstw, jak dla nas śmiertelnych. Bóg, który widzi wszystko w świetle tężniejszości, może w ostatnich chwilach umierającego dać mu Łaskę nawrócenia, którą my w późniejszych modlitwach dla niego wybłagamy. Wiele dusz zostało w ten sposób zbawionych przez swych bliskich, którzy do śmierci ofiarowali wszystkie swe zasługi dla zbawienia ukochanych: matki modlą się za dzieci, żony za mężów, dzieci za rodziców.

OBJAWIENIE potwierdza to po cieszące przypuszczenie filozofii chrześcijańskiej. Księga Przyszłości wychwała Mądrość, która rządzi wszystkim i nie zapomina o niczym, co będzie. Dziewica Maryja obdarowana została przywilejem Niepokalanego Poczęcia ze względu na przyszłe Odkupienie i zasługi Swego Syna, którego Wcielanie jeszcze również nie nastąpiło.

Dusze wybrane z okresu przed narodzeniem Chrystusa miały być odkupione przez Zbawcę, który miał dopiero nadejść. „Ten, Który zbawił Abrahama dla zasług Jezusa, może dać umierającemu łaskę nawrócenia dla przyszłych zasług jego krewnych czy przyjaciół”.

Kościół w swojej liturgii postępuje podobnie. Wie, że zaraz po śmierci los duszy zmarłego jest

ostatecznie zdecydowany i nie można już wpłynąć na wyrok, który jest nieodwołalny, a mimo to mając na względzie chwile, które poprzedziły śmierć oraz będąc przekonany, że Bóg w momencie agonii policzy umierającemu modlitwy i Msze św. odprawione w przyszłości — modli się do Boga o tego, który był i zostanie dzieckiem Kościoła. Wsłuchajmy się w akcenty macierzyńskie modlitwy Kościoła:

„Panie Jezus Chryste, Królu chwały, wybaw dusze wszystkich wiernych zmarłych z mak czyścicych... Niech miejsce kary ich nie pochłania, niech do ciemności nie wpadają... Spraw, o Panie, niech przejdą ze śmierci do żywota...” (Ofert.) Ufając w działający wstecz skutek swych modlitw, Kościół prosi dla zmarłego szczególne łaski, które by powiodły go do zbawienia.

NOTATNIK POLITYCZNY

SENS WYBORÓW ANGIELSKICH

320 konserwatystów, 294 postów z ramienia Partii Pracy, 6 liberalów i trzech niezależnych — oto cyfrowe wyniki zeszłotygodniowych wyborów brytyjskich, w których wzięło udział ponad 35 milionów Anglików.

Jak widać, konserwatyści posiadają w Parlamencie zapewnioną większość co najmniej 26 głosów nad partią Pracy, a dodawszy głosy liberalów — 32. Przewaga ta jest co prawda bardziej zeszłotygodniowa od tej, jaką dysponował przed miesiącem Clement Attlee, niemniej jednak świadczy ona o osobliwym charakterze brytyjskiej ordynacji wyborczej, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż Labour Party uzyskało w ostatecznym rozliczeniu o 245 tysięcy głosów więcej niż konserwatyści.

To, mało efektowne, ale bądź co bądź zwycięstwo konserwatystów, wywołane zostało dzięki umiejętnej wykorzystaniu przez propagandę tego stronnictwa powszechnego zmęczenia i rezygnacji, będącej rezultatem sześciolętnich nieudolnych rządów labourystowskich. Jezykiem u wagi w rozgrywek wyborczej były w Anglii środowiska drobniomieszczańskie, które w roku 1945 poparły w większości Partię Pracy przeciw Churchillowi. Te same środowiska dziś czynią tę partię odpowiedzialną za groźbę pogarszania się warunków ekonomicznych na wyspie, za stały wzrost podatków, stracę źródeł zysków z nafty irańskiej, za ciągłe upokorzenia, które spotykają Imperium brytyjskie na arenie międzynarodowej.

Niewątpliwie sytuacja jest niewesoła. Od roku każdy Anglik ma prawo do dwóch jajek i jednego kotlecia tygodniowo. Przysłowiove i tradycyjne „bacon and eggs” (jajka na boczku) znikły zupełnie nie tylko z jadłospisów restauracji ale i również z domów prywatnych. O rozmiarach trudności aprowizacyjnych świadczy choćby fakt, że w pierwszych osmiu miesiącach bieżącego roku zjedzono w Anglii ponad pięćdziesiąt tysięcy ton mięsa wielorybego, które dotąd stanowiło tylko przysmak dla Eskimosów. Wydatki na zbiorowi pochłaniają olbrzymie sumy. Wadliwie rozwiązany i szalenie kosztowny system ubezpieczeń społecznych coraz bardziej obciąża budżet, którego deficyt wzrasta w sposób katastrofalny.

Konflikt irański, to nie tylko bolesny cios prestiżowy, który odeztało boleśnie w niektórych środowiskach angielskich, ale również strata 500 milionów funtów rocznie, co czyni groźną wyrwę w gospodarce narodowej nad którą i tak unosi się dziś cień bankructwa. Kto wie, czy właśnie ostatnie wydarzenia w Iranie i Egipcie nie przesądziły ostatecznej o postawie większości środowisk drobniomieszczańskich i nie przechyliły tym szali zwycięstwa na stronę konserwatystów. O jakości argumentów, jakimi przekonawano w kampanii tę część brytyjskiej opinii publicznej, może świadczyć choćby ten fragment artykułu Edwarda Hullaona, ogłoszonego na łamach „Picture

Powinniśmy ten przykład naśladować. Jeżeli więc ktokolwiek ma wątpliwości co do zbawienia drogiej mu duszy, zamiast zastanawiać się i rozpaczać nad niemożnością spotkania go w niebie, powinien z pełną nadzieją zdwoić modlitwy i dobre uczynki, aby wypłacić sprawiedliwości Bożej to wszystko, czego nie dopełnił zmarły. Wszystkie te zasługi, które Bóg widzi, zostały na pewno uwzględnione w godzinie śmierci, jakkolwiek nie mogłyby na pewno wprowadzić duszy z piekła, gdzie, jak mówi Dante, nie ma już żadnej nadziei — mogą jednak wybłagać dla niego zbawienie w niebie. Tam oczekiwać będzie na kochającą go istotę, która swym wysiłkiem zdobyła mu zbawienie.

Mozemy mieć pełną nadzieję! Dobroć Boża jest równie nieskończona jak Jego sprawiedliwość.

Tłum. M. D. Dobraczyńska

KAZIMIERZ PIEKUT

MODLITWA SZWACZKI

Siostrze mojej-Mariannie Kuglerowej

„Los uwesela młodość moją
kwiatami,
rzucikiem,
groszkiem.

Kwiaty pachną nie ląką —
wetną.

Jedwabiem,
płótnem.

Dni umykają spod palców ściegu drobnym krokiem,
znacząc jak nielubiany deszeń powszedniość swą i łoskę.

Panno Plomienna. Panno Można,
odbierz zmęczenie moim oczom.

O Rado Dobra —

Jak trudno uszyć drogą ślubną suknię,
która podoba się gościom.

Zanim Pan wejrzysz w niskość swojej służebnicy,
pomóż w podjętym trudzie wytrwać.

Nie mając żurnali szyla piękne suknie
Tabuta*).

KRAJOBRAZ SMUTNY

Kolujący nad lasem jastrzęb spokój sosnom ploszy.

Słotwiałe są spojrzenia wrześnieowych malin.

Na łysinach pagórków palą się rumieńce wrzosów
jak wypieki na chorego twarzy.

Tęsknota wyszła znikąd. Twarz zakryta kwejem
wspomnień, których z pamięci nie zdolasz wykreślić
— tęsknota ma zle czarne oczu, uśmiecha się krzywo,
ulega przeznaczeniu melancholia i przestrodzeń,
kiedy pędzący pociąg sygnalami szerbi
horyzont.

Zając schwyłany w sidła przeklina muzykę świerszczu,
gdy mu oczy ukolysane strachem
w kształt jałowcowych jagód słyną.
Szczęśliwe jest serce, które zdolne pomieścić
nie tylko własną miłość.

* Tablita uczennica krawiecka, wskrzeszona przez św. Piotra (Dz. Ap. 9, 36-41.)

Wojciech KETRZYŃSKI

Błogosławiony Giuseppe Sarto — Papież Pius X

JEST obyczajem katolickim, uświęconym wiekową tradycją, nazywać świętych i błogosławionych papieży ich papieskim imieniem, a nie ich rodzinnym nazwiskiem. Obyczaj ten jest niewątpliwie praktycznie uzasadniony. Gdyby dziś bowiem wspomnieć, na przykład o błogosławionym Bernardzie Paganelli czy Teobaldzie Visconti — nazwiska te znaczyłyby coś tylko dla erudyty i znawców, podczas gdy imiona Benedykta XI czy Grzegorza X, mówiąc same za siebie, ułatwiają jednocześnie zainteresowanym odnalezienie potrzebnych szczegółów z życia świętego sługi Bożego.

W tytule tego artykułu zerwaliśmy jednak z tym zwyczajem: wbrew tradycji piszemy — błogosławiony Giuseppe Sarto, a nie tylko błogosławiony Pius X — Dlaczego?

Chodzi tu o zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo nieporozumień wynikających z faktu zamiany rodzinnego nazwiska na imię papieskie. Takim bowiem sposobem nazywania świętych i błogosławionych skierowuje całe zainteresowanie katolików w pierwszym rzędzie na indywidualność papieża na dzieje jego pontyfikatu, a nie na osobę świętobliwego. W konsekwencji prowadzi to nie raz do szkoda bezpośredniej przyczyny beatyfikacji czy kanonizacji w dokonany w czasie pontyfikatu dziele nie zaś w heroicznych cnotach danego papieża, cnotach praktykowanymi przez całe życie, a nie tylko w latach zaszczytnego wyniesienia na Stolicę Piotrową.

W czasach nowożytnych napotyamy się dotąd na niewiele świętych wśród papieży. Na 254 Namienionych Chrystusowych — 84 zostało dotąd kanonizowanych lub beatyfikowanych. Niemniej ostatnia kanonizacja miała miejsce w roku 1712, gdy papież Klemens XI wyniósł na ołtarze postać Piusa V — Michała Ghislerio. Święty ten papież panował w latach 1566—1572. Od chwili jego śmierci do daty śmierci Piusa X minęło blisko trzy i pół wieku. Przez ten czas na Stolicę Piotrową zasiadało kolejno trzydziestu pięciu papieży, z których jeden tylko, Pius X, wyniesiony został na ołtarze. Czyż brak kanonizacji papieży w tym czasie miałyby oznaczać brak wśród nich godnych następców świętego Piotra? Czy wyróżnienie Piusa X jest w jakiejś mierze także wyróżnieniem jego pontyfikatu, przed Leonem XIII lub Benedyktem XV na przykład? Oczywiście, że nie.

Skoncentrowanie nadmiernej uwagi wokół dzieł samego pontyfikatu może na tego rodzaju nieuzasadnione przypuszczenia naprowadzać.

Tytuł tych rozważań — o błogosławionym Giuseppe Sarto — ma na celu zwrócić uwagę, iż przedmiotem naszego zainteresowania musi być całość życia błogosławionego, a nie tylko jego papieska działalność. Chcemy tu nawet zaryzykować twierdzenie, że Giuseppe Sarto byłby wcześniej lub później wyniesiony na ołtarze Pańskie nawet wówczas, gdyby w swej karierze duchownej nie wyszedł poza skromny szczebel proboszcza z Salzano, gdyby nie został nigdy biskupem, nie objął rządu starożytnego patriarchatu weneckiego, gdyby nie wdział na siebie kardynalskiej purpury, która otworzyła mu drzwi na conclave po śmierci Leona XIII. Święty proboszcz z Ars bodajże nigdy nie dostąpił żadnych godności honorowych w swej służbie kapłańskiej a jednak znalazł się wcześniej na liście świętych, niż wybitny papież.

Po to, by uświadomić sobie indywidualność nowego błogosławionego, trzeba więc na chwilę niejako zapomnieć o jego zaszczytnej godności. Jednocześnie jednak, poznawszy postać błogosławionego, trzeba z konieczności zastanowić się nad dziełem Jego pontyfikatu. Osoba i dzieło jego życia — oto dwa aspekty, które nas winny zainteresować z okazji zapoznawania się z osobą Błogosławionego.

OSOBA

I.

W SWEJ rozprawie o hagiografii pisze Ojciec Jacek Woroniecki:

„Świętość oznacza ten wyższy stopień nadprzyrodzonej doskonałości, kiedy dusza, przeszedłszy przez główne fazy oczyszczenia, staje się niejako przejrzysta dla światła Bożego i powolna natchnieniom Trójcy Świętej, która w niej mieszka.

Liczba dusz, które doszły do pełnego oczyszczenia tu na ziemi, a po śmierci natychmiast weszły do chwały Bożej, jest niewątpliwie o wiele większa niż tych, którzy otrzymują w Kościele cześć publiczną. W planie Opatrzności Bożej nie które tylko z nich otrzymały szczególne zadania do dokonania w Kościele, pewną jakby zdolność szerokiego promieniowania już w tym życiu, a następnie po śmierci na swoje otoczenie bliższe lub dalsze. Wiele dusz, które doszły do wysokiego uświęcenia, tej misji w szerszym zakresie od Boga nie miały i świętość ich jaśniała tylko przed Bogiem i najwyżej przed małym gronem zaufanych”.

Jakaż więc była ta specjalna misja, którą całym swym życiem spełnił Giuseppe Sarto, od wczesnych lat studiów począwszy, aż po tron Piotrowy? Jakież to szerokie promieniowanie wyróżniało tę postać spośród tylu innych świętobliwych i skłoniło Kościół do uroczystego postawienia właśnie tego człowieka na wzór całemu katolickiemu światu?

Wiele się już o osobie błogosławionego Piusa X ostatnio pisało i ponowne powtarzanie szczegółów jego życiorysu wydaje się zbędne. Przypomnijmy sobie jednak najważniejsze zarysy jego życia.

W małej wiosce północnych Włoch urodził się w roku 1835 Józef Sarto, jako drugie dziecko ubogiego małżeństwa. Ojciec jego był woźnym gminnym, matka krawcową. W skromnym domku w Riese wychowało się dziesięcioro dzieci. Już powyższe dane świadczą o surowych warunkach materialnych, o ubóstwie, z którym się młody Sarto zapoznał od pierwszych lat życia. Nie była to jednak nędza. Nie dane mu było urodzić się wśród trawionej nędzą i chorobami proletariatu robotniczego rzymskich przedmieść, Turynu czy Mediolanu, lub wśród bezrolnej biedoty jałowej Kalabrii. Związany był z wsią jako z ziemią-karmicielką, żyzną i płodną w jego stronach. Znajdziemy też u przyszłego dygnitarza Kościoła niewątpliwą i głęboką troskę o dołę ludu, z wyraźną wszakże niechęcią do wiązania jej z tym wszystkim, co stanowił atrybuty nowoczesnej cywilizacji. Twarde ale sieliskie życie rieseńskie pozostawiło tu ślad niezatarty.

Tam, wśród zielonych pól, wśród ocienionych ścieżek, którymi bosonogi Beppo wędrował do odległej o siedem kilometrów szkoły — rodziło się i dojrzewało wczesne powołanie kapłańskie. Bardzo wczesne. Zwierzył się ze swych zamierzeń rodzicom mając lat jedenaś-

cie, a do seminarium wstąpił w wieku piętnastu lat. „To najszlachetniejsza dusza w tym kraju” — te słowa jego proboszcza i opiekuna pozostały pierwszą opinią znaną o nim przez kronikarzy.

Spod opieki swego proboszcza przeszedł młody Sarto, już jako seminarzysta, pod opieką rodaka z Riese, patriarchy weneckiego kardynała Monico, który przyznał mu stypendium, niezbędne dla dalszych studiów. Odtąd kariera duchowna Giuseppe Sarto rozwi-

jest jednym wielkim przypomnieniem, że to właśnie na tej cichej i wytrwałej pracy ludzi, którzy nie ubiegają się o zaszczyty — stoi Kościół Boży i jego ziemskie dzieło.

II.

Może właśnie w tej pokornej drodze wśród zaszczytów kryje się jeden z głównych elementów owego promieniowania, który uczynił misję życia Giuseppe Sarto świętą.



Błogosławiony papież Pius X (rzeźba woskowa)

ja się już z zadziwiającą regularnością. Wyświęcony w roku 1858. pełni przez dziewięć lat funkcje wikarego w małej parafii Tombolo diecezji Treviso. Następnymi dziewięć lat jest proboszczem w Salzano, skąd, z tytułem kanonika, przechodzi do kurii diecezjalnej, obejmując jednocześnie kierownictwo duchowne diecezjalnego seminarium. Czasowo, po śmierci ordynariusza, pełni z wyboru kapituły funkcje wikariusza kapitułarnego.

W roku 1894 zostaje mianowany przez Leona XIII biskupem Mantui. Mija dziesięć lat funkcji pasterskich. Sarto otrzymuje kapelusze kardynalski i zaraz potem nominację na Patriarchę Weneckiego. W dziesięć lat później, ku swemu własnemu zdumieniu, w oczach nie mniej zaskoczonego całego Kolegium Kardynalskiego — ten cichy, prosty, skromny człowiek zasiada na Tronie Piotrowym.

REGULARNOŚĆ tej eklezjastycznej kariery aż zaskakuje. Mimo rozmachu jest taka prosta, taka typowa, taka bezpretensjonalna. Jest to droga „Inlowca”, który nie ominął żadnego szczebla, nigdzie nie szukał protekcji, efektów, łatwych zaszczytów. Jest to droga człowieka, który wytrwałą pracą, sumiennością, ofarnością w służbie Bożej, podniósł się coraz to wyżej nie tylko w szczeblach godności, lecz i również w szczeblach doskonałości. Jedno szło w parze z drugim. Droga ta

Przyszły papież, czy to jako skromny kapłan, czy odziany w fiolety lub purpurę, czy to na najwyższym urzędzie Kościoła, pozostał wzorem skromności, przypominając wokół słowa swojego Mistra: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. W tym okresie, przepowiadającym wielkie przemiany świata, gdy trzeba było rozstać się z wielu myślowymi i materialnymi przyzwyczajeniami, gdy Kościół musiał mocniej niż kiedykolwiek przypominać, że nie wiąże go ani kultury ani ustroje — postać tego wieśniaka, który będąc purpuratem i patriarchą miał odwagę mówić o sobie — „Jestem tylko biednym kardynałem ze wsi” — była dla świata katolickiego znamieną przestroga.

Jeszcze jako biskup Mantui otrzymał Giuseppe Sarto, jak to było wówczas we Włoszech w zwyczaj, tytuł szlachecki — został hrabią. W obszernej korespondencji, wśród wielu wydanych przez niego listów i orędzi odnajdujemy jednak ten tytuł użyty tylko dwa razy — w grudniu 1892 roku oraz w styczniu 1893. Przez grzeczność. Ale nigdy więcej na ten tytuł się nie napotyamy.

W swej pierwszej encyklice mógł więc Pius X oświadczyć z całą szczerością człowieka, który codzienną postawą dowiódł, że słowa jego są prawdą: „nie chcemy być wśród społeczeństw niczym innym, jak tylko sługą Boga, który Nas przyodziewa Swą powagą”.

„Prosty wieśniak” miał też odwagę przypomnieć i poprzeć oso-

bistym przykładem w czasach potęgującego się egoizmu słowa swego ulubionego świętego — Wincentego à Paulo — „wołaj Boską jest, abyśmy żyli nie dla siebie tylko, lecz dla wszystkich”. Zyciem codziennym świadczył też o wielkim przykazaniu miłości bliźniego. Czy w strasznych dniach epidemii cholery w Salzano, czy na poszczególnych urzędach — rozdał wokół siebie wszystko, od dobroci serca począwszy, aż po kęs własnego jedzenia. Żył ubogi, nieraz zadłużony, zawsze skąpiąc sobie dla innych. Na conclave do Rzymu pojechał za pożyczony pieniądze! Świadczeń jego osobistych dobrodziejstw nie trzeba szukać, napotykamy się na nie na każdej kartce historii jego życia.

Cała jego działalność pasterska przepełniona była najgłębszą troską o ozdobienie wewnętrzzną świętością życia stanu kapłańskiego w kraju, w którym tradycyjna religijność wiązała się byt często z opuszczaniem się w służbie Bożej. Wypróbowany wychowawca duchowieństwa ze znanstwem oddawał się tej części swego posłannictwa. Poszerzanie i pogłębianie zakresu wykształcenia w seminarjach duchownych — oto stała jego troska. Niezmienna w Treviso, w Wenecji i w Rzymie. Jego wizytacje pasterskie były głośne w całych Włoszech. Zakazywał kategorycznie wszelkich szumnych uroczystości powitanych, wzamian za to poznając stan dusz swych wiernych w konfesjonale, w każdej kolejno odwiedzanej parafii. Liczne synody diecezjalne rozszerzały horyzonty i poczucie odpowiedzialności kleru, pogłębiając jego wiedzę liturgiczną, teologiczną a nawet poczucie estetyczne. Znamiennym rysem charakterystycznym jego pracy wychowawczej było wydanie duchowieństwu diecezji polecenia odprawiania za darmo dla ubogiej ludności wszelkich nabożeństw żałobnych z zachowaniem ceremoniału w niczym nie uwłaczającego ich godności.

Już jako Papież Pius X, w pięćdziesiąt rocznicę kapłaństwa, wydał on głośną egzortację do duchowieństwa całego świata. Ogrzędzie to jest podsumowaniem bogatych i głęboko przemyślanych doświadczeń, a do dziś dnia stanowi dokument niezastąpiony dla każdego, kto chce zgłębić tajemnice powołania i pracy duszopasterskiej.

„Jest to wznoszące posłannictwo, to posłannictwo nasze, pisze Pius X, bo poza tym światem przejściowym mierzy do celu dóbr nieśmiertelnych. Żadne granice nie zatrzymują go; winno ono obejmować interesy całego świata. Zapewniać na wszelki sposób poszanowanie przepisów ewangelicznych, rozciągając naszą troskliwość nie tylko na wiernych — lecz na wszystkich ludzi, za których Chrystus śmierć poniósł”.

DZIEŁO

I.

PONTYFIKAT — grom z jasnego nieba w życiu człowieka, który doprawdy nie tylko nie myślał o tym urzędzie, ale i jego nie chciał. Pontyfikat — spuścizna po wielkim papieżu jakim był Leon XIII — była wyjątkowo ciężką próbą dla tego, który całe życie pragnął dokonywać swego dzieła w zaciszu, z dala od sławy i dostojności.

Spuścizna po Leonie XIII nie była zresztą łatwa, gdyż wiele z jego dalekowzrocznych zamierzeń

(Dalszy ciąg na str. 4)

Błogosławiony Giuseppe Sarto — Papież Pius X

nie ziszcilo się. Wiele gorzkich rozczarowań i niepowodzeń ciąży na ostatnich latach tego pontyfikatu. W Kurii Rzymskiej też narastała opozycja, która zresztą była tylko wyrazem opozycji, na którą ów „papież-liberał“ napotykał się wokół przez cały czas. Dwa momenty zaciążyły tu niewątpliwie na pontyfikacie jego następcy. Przede wszystkim ten, że wybór Piusa X był w dużej mierze wynikiem woli poważnej części świętego Kolegium przeciwstawienia się kandydaturze kardynała Rampolla — kontynuatora linii Leonowej. Działalność papieska Piusa X rozpoczynała się więc pod hasłem rewizji dotychczasowych założeń polityki Watykanu na wielu odcinkach.

Ponadto Pius X w przeciwieństwie do swego poprzednika nie miał w swym usposobieniu nic ani z polityka ani z dyplomaty, co oczywiście, nie oznacza, by nie miał w tej dziedzinie własnego zdania. Był jednak człowiekiem, który wyrósł od wczesnych młodzieńczych lat w zamkniętym kręgu wpływów duchowieństwa włoskiego, nigdy w swoim życiu nie przekroczył granic swego kraju, a być może, że poza swymi diecezjami znał tylko drogę wiodącą do Rzymu, nie władał poprawnie żadnym obcym językiem. W tych warunkach był Pius X niewątpliwie podatny na wpływ orientacji integrystycznej w Kościele, orientacji, która zwalczała wszelkie tendencje do przemian, ułatwiających kontakt ze światem nowoczesnym, przeciwstawiająca się, w imię nienaruszalności zasad wiary wszystkim, co było postępowem zewnętrznym i w Kościele. (Orientację tę charakteryzuje doskonale artykuł Yves Congar — *Dziś i Jutro* — nr 35 (249) — „Integrysta a prawicowa postawa katolików“.)

Te tendencje niewątpliwie zaciążyły na pontyfikacie Piusa X. Jednak jego niewątpliwie, wielkie wartości wewnętrzne sprawiły, iż wszędzie, gdzie działalność papieska wchodziła na grunt zagadnień czysto religijnych — tam wykwiatało dzieło niewątpliwie wartościowe i trwałe. Pius X należał do najpracowitszych papieży, w czasie swego stosunkowo krótkiego panowania — trwało ono tylko lat jedenaście — wydał on 350 własnych pism encyklicznych, orędzi, motu proprio, a podpisał aż 322 akty i dekryty.

W jego działalności pasterskiej zaznaczyło się parę wielkich kierunków, które stanowią niemal że filary dalszego rozwoju Kościoła. Niewątpliwie najcięższym problemem jego pontyfikatu była walka z modernizmem filozoficznym i teologicznym, który u podstaw wypaczał doktrynę katolicką. Nie tu miejsce na szczegółowe rozważania tej wielkiej sprawy. Trzeba jednak stwierdzić, że w swych założeniach doktrynalnych walka Kościoła z herezją modernistyczną była pod każdym względem nie tylko usprawiedliwiona, ale wręcz konieczna. Modernizm faktycznie zaprzeczał tak Kościołowi, jak i jego nauce cech boskich, objawionych, próbując sprowadzić całą problematykę do kategorii czytu subiektywnego intelektualizmu i socjologizmu. Dopiero przewyżczenie tych merytorycznych błędów otworzyło drogę młodszemu pokoleniu myślicieli i teologów katolickich ku rzeczowemu i twórczemu przemysleniu wzajemnych stosunków między Kościołem, a a doczesną, zmienną rzeczywistością ludzką. Niewątpliwie krytyczny historyk dostrzeże dziś w metodach walki z modernizmem stosowanych za cza-

sów Piusa X, także i błędy, przesady. Były to jednak w minimalnej mierze przeoczenia papieskie, zaś w olbrzymiej większości wypaczenia, jakie słusznej sprawie narzucił fanatyzm integrystów.

Drugim wiekopomnym dziełem tego papieża było rozpoczęcie wielkiej pracy nad unowocześnieniem struktury formalnej Kościoła. Rozpocząwszy to dzieło od reorganizacji agend Kurii Rzymskiej, które rozplanowane zostały w sposób nowoczesny i logiczny, prowadzone było dalej na odcinku kodyfikacji prawa kościelnego. Wielka ta praca zakończona została dopiero pod koniec pontyfikatu Benedykta XV, niemniej znakomita większość zasług za to wielkie dzieło przynajmniej jest jednoznacznie Piusowi X.

SZERZENIE na całym świecie kultu i praktyki Eucharystii było też jednym z czołowych zadań tego papieża, który nigdy nie zapomniał, że na najwyższym stanowisku kościelnym, jest przede wszystkim pierwszym biskupem świata katolickiego i przed wszelką polityką kościelną — troska o dusze jest jego pierwszym obowiązkiem. Postulat częstej Komunii Świętej, obniżenie granicy wieku przystosowania dzieci do tego sakramentu — to była na owe czasy niewątpliwa rewolucja w życiu religijnym świata katolickiego.

Nie sposób wyliczyć w krótkim artykule informacyjnym wszystkich dziedzin życia religijnego, jakie objęła aktywność tego papieża. Specjalną uwagę poświęcał on muzyce religijnej, sztuce kościelnej, wszystkim dziedzinom pracy duszpasterskiej. Ta rozległa a jednocześnie drobniagowa aktywność zyskała mu w pewnych kołach złośliwy przydomek papieża-proboszcza, określenie to zresztą przynosi mu niewątpliwie chwałę, a nie ujme.

Na odcinku życia religijnego był niewątpliwie Pius X wielkim mężem Kościoła i dzieło jego jest tu nieprzemijające.

II.

Przed Papieżem stały jednak do rozwiązania nie tylko wielkie problemy wewnętrznego, religijnego życia Kościoła, stały również i problemy zewnętrzne. Papieństwo było wstrząśnięte niedawną utratą państwa kościelnego, stan konfliktu pomiędzy Kościołem a państwem trwał we Włoszech, przez cały świat przechodziły fale rewolucyjnych prądów społecznych, kierunki intelektualne coraz częściej przybierały postawę anty-religijną.

Leon XIII w poglądach osobistych nie był, jak go pomawiano, ani rewolucjonistą, ani socjalistą. Był niewątpliwie konserwatywnych zapatrywań. Był jednak, jak się w owych czasach mówiło, „liberałem“, to znaczy, że dążył do nawiązania kontaktu między katolicyzmem a ówczesną liberalną społecznie i politycznie mentalnością.

Pius X był również konserwatystą. Był jednak konserwatystą innego formatu. Jak już stwierdziliśmy — nie miał w sobie nic z „liberała“, był raczej konserwatystą „totalitarnym“, bezwzględnie i bezkompromisowo broniącym ideałów pod wieloma względami przedawnionych.

Czy godzi się nam krytykować na tym odcinku politykę papieską, zwłaszcza politykę papieża beatyfikowanego? Autorowi wydaje się, że tak. Byli niewątpliwie wielcy i świętobliwi papieże, których działalność nie była na tym polu szczęśliwa. Papież Celestyn V jest święty, mimo iż powołanie go na tron papieski było niewątpliwym

Dalszy ciąg ze str. 3

nieporozumieniem, gdyż ani usposobienie, ani zainteresowania nie kwalifikowały go do trudnej roli Głowy Kościoła. Toteż rzekł się szybko swego urzędu.

Nie chcemy również budować autorytetu Kościoła Katolickiego na bezkrytycznym i bezmyślnym podejściu do jego dzieł. Niewątpliwie kultura katolicka znacznej większości katolickich społeczności pozwala im dziś na próbę krytycznego ustosunkowania się do niektórych dziedzin aktywności papieża. Zwłaszcza odcinek stosunku Kościoła do współczesnych zagadnień społecznych i politycznych wręcz wymaga wkładu pracy katolików. W tej bowiem dziedzinie papieństwo opiera się w dużej mierze na dojrzałości sądu samych katolików. Wówczas, gdy katolicka opinia potrafiła swe poglądy zreferować i rzeczowo obronić wobec kompetentnych czynników Kurii Rzymskiej, wówczas i tak zwana „polityka Watykanu“ rozwijała się bardziej realistycznie. Gdy katolicka opinia ulegała wpływom konserwatyzmu, gdy stawała się bierna i nietwórcza — i Rzym łatwo tracił kontakt z rzeczywistością polityczną i społeczną swych czasów.

Dlatego poczynamy się do obowiązku kreśląc sylwetkę nowego beatyfikowanego Papieża, naświetlić krytycznie także i to, co się nam wydaje być w jego polityce społecznej wątpliwe czy błędne.

Pius X zerwał z liberalną linią polityki Leona XIII. Nie prowadził on nadal akcji na rzecz nawiązania kontaktu między katolicyzmem a ówczesną rzeczywistością liberalno-demokratyczną. Hasło „ralliement“ rzucone katolikom francuskim zostało za jego pontyfikatu przekreślone. Bez wątplenia natknął się on na narastającą falę antyklerykalizmu w burżuazyjnej Francji. Nie umniejszając odpowiedzialności antyklerykałów, trzeba jednak stwierdzić, że jednocześnie znaczna większość katolików odmawiała uporczywie uznania form życia republikańskich za swoje, sprawa Dreyfussa zmobilizowała w obozie konserwatywnym niemalże wszystkie autorytety katolickie francuskie.

W TYM czasie na horyzoncie francuskiej katolickiej myśli społecznej wyrastał ruch „Sillon“ Marka Sangnier. Ruch ten, jakkolwiek pozostawał w kategoriach mieszczkańskich, był niewątpliwie na owe czasy czynnikiem postępowości społecznej i intelektualnej wśród tamtejszych katolików. Od jego właściwego rozwoju zależała w pewnej mierze nie tylko przyszłość katolickiej Francji, lecz i kierunek rozwoju katolickiej myśli społecznej w ogóle.

Rozwojowi „Sillon“ położył Pius X kres w sposób decydujący. Problem ten został na łamach naszego pisma omówiony wyczerpująco w dwóch artykułach Janusza Zablockiego, w numerach 42 (256) i 50 (264) rocznika 1950. Tu chcemy przypomnieć tylko jeden aspekt.

Ideologia „Sillon“ była bezwzględnie żarzona błędami modernizmu. Kościół miał wszelkie podstawy, by w tę sprawę ingerować i prostować błędy. Fakty nie mniej wykazują, że przywódcy „Sillon“, wszyscy najautentyczniejsi katolicy, gotowi byli w każdej chwili swe nieświadome błędy naprostować. Uległość Marka Sangnier wobec decyzji papieskich jest tego oczywiście dowodem. Dlaczegoż więc decyzja pa-

pieska była aż tak bezwzględna, że nakazywała całkowite rozwiązanie tego ruchu i faktycznie przyczyniła się do zdruzgotania tej orientacji, która jakże słabowicie zaczęła się rozwijać dopiero po pierwszej wojnie światowej? Niewątpliwie, bez tak drastycznych kroków można było wypełnić z ruchu Sillon wszystkie doktrynalne błędy. Historycy zresztą nie przeczą, że Sillon miał w Rzymie potężnych wrogów, zasilanych w stronnice oskarżenia przez wszystko, co było konserwatyzmem wśród katolików francuskich.

Zdecydowały tu poglądy Ojca Świętego. Przeciwdziałając się społecznemu programowi „Sillon“, wyraża je tak w liście do biskupów francuskich z dnia 25 sierpnia 1910 roku:

„(Kościółowi) wystarczy podjęcie; przy współdziałaniu prawdziwych robotników, restauracji organizmów społecznych zniszczonych przez Wielką Rewolucję Francuską oraz przystosowanie ich — w tym samym duchu chrześcijańskim, który je ożywił — do nowych warunków, stworzonych przez ewolucję materialną współczesnego społeczeństwa. Albowiem prawdziwymi przyjaciółmi ludu nie są ani rewolucjonisci, ani nowatorzy, ale tradycjonalisci“.

Bez wątplenia pogląd ten stanowił tylko subiektywną interpretację społecznych założeń Kościoła. Nie zaprzeczając w żadnej mierze pełnej rzetelności sądu, jaki na tej podstawie został przez Ojca Świętego wówczas wydany na Sillon — musi stwierdzić jednak, że stanowił on faktycznie jeden z elementów walki między bardziej postępową a bardziej konserwatywną częścią katolickiej myśli społecznej.

JEDNOCZEŚNIE jednak ze sprawą „Sillon“ toczyła się w Rzymie inna jeszcze sprawa, która rzuca nie mniej charakterystyczne światło na odbicie się na pontyfikacie Piusa X — integrystycznych i konserwatywnych wpływów.

Na skutek licznych skarg docierających do Watykanu w tym samym właśnie czasie przed sądem Świętego Oficjum rozpatrywano w Rzymie poglądy głoszone przez grupę Karola Maurras, który przewodził ruchowi „Action Francaise“. Ta prawicowa, ultra-monarchistyczna organizacja, hołdując poglądom bez wątpienia pozytywistycznym, moralności pre-faszystowskiej, legitymowała się chętnie swym katolicyzmem i cieszyła się niewątpliwym poparciem całego konserwatywnego odłamu katolików, od wysokich dignitarzy Kościoła począwszy, na szerokich rzeszach świeckich kończąc.

Oddajemy głos wybitnemu katolickiemu historykowi francuskiemu Adrien Dansette, którego dwutomowe dzieło „Histoire religieuse de la France contemporaine“ (ed. Flammarion) przyjęte zostało pozytywnie przez katolicką krytykę francuską.

„Wydaje się, pisze on, że dzieła Maurrasa zostały przedłożone do rozpatrzenia na Indeks już w 1910 czy 1911 roku. Bez wątpliwości — Pius X, papież bezkompromisowy i konserwatysta, żywi sympatie w stosunku do „Action Francaise“, której przeciwnicy — modernizm i ruch „Sillon“ są równocześnie jego przeciwnikami. Powiedział on o Maurrasie Kamilowi Bellaigue (malarz francuski, osobisty przyjaciel i zaufany Ojca Św.): „To piękny obrońca Kościoła i Stolicy Apostolskiej“ — nie zaś, jak powtórzył to Bellaigue w pierwszej chwili bez skonfrontowania swych notatek — „jest to

piękny obrońca Wiary“. Oznaczało to, iż uważa Maurrasa za z e w n ę t r z n e g o apołogęte.

Kamilowi Bellaigue powie zresztą zapytany o to samo kardynał Merry del Val — „Bez wątpienia w dziełach Maurrasa znajdują się sądy fałszywe. A gdy przychodzi się pytać Rzym — czy takie poglądy są potępienia godne, trzeba przecieżyć, by Rzym na to odpowiedział“.

„W lipcu 1913 roku Kamil Bellaigue, pełniąc co roku przez miesiąc honorową służbę w Watykanie, przywozi Piusowi X memoriał obronny Maurrasa i list od kardynała de Cabrières. W tym czasie Maurras pisze też w swej obronie książkę pod tytułem „O Action française i Religii katolickiej“, którą oddaje jeszcze do cenzury biskupowi Penon z Moulins... Mimo interwencji integrystycznych kardynałów, pod koniec roku 1913, zdaniem kardynała Billot, potępienie jest nieuniknione. Liczy on jeszcze tylko na Ojca Świętego, który mu obiecał, jeśli zajdzie tego potrzeba, wstrzymać ogłoszenie wyroku i zawiesić je „sine die“. Kardynał Billot jest dobrze poinformowany i wypadki toczą się tak jak to przewidywał. Pius X zdecydował, „biorąc pod uwagę liczne petycje, zgłaszane do niego ustnie i na piśmie, nawet przez bardzo znaczne osobistości“, iż — „po zbadaniu sprawy przez Kongregację w pełni swobody“ — zastrzeżenie sobie prawo osobiście decydować o ogłoszeniu dekretu. Kongregacja jednogłośnie potępiła siedem książek Maurrasa i pismo „L'Action Française“ w dniu 26 stycznia 1914 roku, dnia 29 Pius X decyduje, iż dekret ten nie zostanie ogłoszony, lecz „że będzie wydany z datą dzisiejszą“ — „Jeśli powstanie nowa przyczyna by to uczynić“. Później powie Pius X na ten temat kardynałowi de Cabrières następujące słowa, tłumaczące jego decyzję (powtórzone przez Maurrasa) — „Damnabilis, non damnandus — jest potępienia godny, nie powinien być potępiony“.

Prawność decyzji papieskich przebiega zbyt wyraźnie, żeby była potrzebna jej podkreślenie. Pius X jest przeświadczony, iż nie jest w interesie Kościoła uderzyć w tej chwili w sprzymierzeńca, który, jakkolwiek błędny, przynosił swą działalnością więcej pożytku niż szkody. Stanowisko pod każdym względem rzetelne. Niemniej jest to stanowisko, wynikające z subiektywnych przeświadczeń Papieża, że tak właśnie a nie inaczej toczyć się będzie rozwój katolicyzmu. Niemniej charakterystyczna jest tu jednak różnica w podejściu do sprawy Sillon i sprawy Action française, potraktowanie Marka Sangnier i Karola Maurrasa.

Konsekwencje. Tak dla Kościoła jak i dla Francji bardzo poważne. Chrześcijańska-demokracja francuska nie podniesie się po zadanym ciosie, będzie wegetować przez okres międzywojenny, u kresu sił będzie startowała po drugiej wojnie światowej do nieudanego wlotu pod przywództwem Bidault i Schumana jako kompromitująca słabością „trzecia siła“. Postępową społeczną myśl katolicka francuska musi sobie szukać innych dróg, na pewno dojrzałych i poważniejszych, ale z jakim opóźnieniem.

„Action française“ doczeka się ostatecznie potępienia przez Piusa XI w roku 1926. Przez tych trzynaście lat będzie rosła na siłach i w dniu wyroku, przeciwieństwo „Sillon“ zbuntuje się przeciw autorytetowi papieża, obrzucając go obelgami, wywołując istny rozłam wśród katolików fran-

(Dokończenie na str. 6)

Franciszek WITOWICKI

BŁOGOSŁAWIONY PIUS X widziany oczami swego Sekretarza Stanu

ZGON najznakomitszego bezsprzecznie Papieża minionych dwóch wieków, Leona XIII, nie nastąpił niespodziewanie. Mimo nadzwyczajnych sił żywotnych wiadome było, że dni jego są policzone (93 lata), a kwestia następcy stała niemal za bezpośrednio aktu alna. Papież Leon XIII był wielkim mężem Kościoła, który po wstrząsie 1870 r., podniósł prestiż i powagę Stolicy Apostolskiej i ugruntował je w sposób niebywały. Polityka jego dawała tak pozytywne rezultaty, że wydawać się mogło, iż zgon Papieża nie powinien jej przerywać a następcą miałby za zadanie kontynuowanie tej samej

było jasne, że „ekskluzywa“ przyczyni się do wprowadzenia go w następnym głosowaniu na Tron Papieski; w następnej kolejności wybijał się mało znany w Kurii, a jeszcze mniej w świecie. Patriarcha Wenecji, Kardynał Józef Sarto.

NIEOCZEKIWANY WYBÓR

W PONIEDZIAŁEK, dnia 3 sierpnia, sytuacja była naprężona. Święte Kolegium zostało bowiem postawione wobec groźnej alternatywy: albo od razu wybrać papieżem Kardynała Rampolla, czyli narazić się Austrii, potężnemu państwu katolickiemu, które podtrzymywało Papieństwo przeciwko

26 roku życia zostaje Tajnym Szambelanem Leona XIII i przez 8 lat sprawuje te funkcje, by w październiku 1899 r. objąć stanowisko Prezydenta papieskiej Akademii Dyplomatycznej, która w kwietniu 1951 r. obchodziła swe 250-lecie istnienia.

Z polecenia więc Kardynała Dziekana Mgr Merry del Val miał się udać do Kardynała Sarto i nakłonić go do zaniechania opozycji. Wysłannik — rzecz ciekawa — nie znał zupełnie Kardynała Sarto. Mimo długich lat pobytu w Rzymie i służby w Antykameryze Papieskiej oraz Akademii, nigdy się z nim nie zetknął. Odszukał więc Kardynała Sarto, modląc się w kaplicy Paolińskiej i ukłękawszy przy nim, cichym głosem wywiał się ze swej misji. — Ci dwaj ludzie, którzy mieli w przyszłości tak ściśle ze sobą współpracować, wtedy dopiero po raz pierwszy spotkali się i przemówili do siebie. Kardynał Sarto wysłuchał słów i argumentów wysłannika, poczem zwrócił twarz do mówcy, który teraz doniósł spostrzeżenie, że z oczu Kardynała spływają łzy. Kardynał Sarto polecił Mgr Merry del Val zwrócić się do Kardynała Dziekana z prośbą o użycie swego wpływu na wyborców, by zaniechali jego kandydatury. Ale wysłannik, tknięty dziwnym przecuciem, odpowiedział na to słowami: „Eminencjo, odwagi! Bóg dopomaga!“ W rzeczy samej okazało się miało, że wielu innych Kardynałów potrzebno skruszyć onow elekta i we wtorek, dnia 4 sierpnia, świat dowiedział się, że nowy Papież, Pius X zasiadł na stolew Piotrowej Konkławe było skończono, Kardynałowie uwolnieni z paradiowego zamknięcia „pod kluczem“ opuścili Watykan i udali się do swych prywatnych apartamentów. W pałacu pozostał tylko nowo-obrany Papież i Mgr Merry del Val, którego funkcje skończyły się również. Trzeba było tylko jeszcze wysłać pisma do naniaczych z notyfikacją wyboru i przedłożyć je nowemu Papieżowi do podpisu.

sprawy z tego resortu są wszystkie ważne, więc też te codzienne rozmowy toczą się zawsze o rzeczach poważnych i decyzyje zapadające są ważne. Nic dziwnego, że w takich warunkach ludzie żywią się w pracy i poznają wzajemnie. Toteż charakterystyka Piusa X, którą daje w swych Wspomnieniach Kardynał Merry del Val, jest najbardziej istotną, gdyż pochodzi od człowieka, który się z nim stykał codziennie.

Czar osobisty Piusa X był połączony z niezmierną dobrocią, którą się od razu wyczuwało. Wszyscy, którzy się zetknęli bezpośrednio z Piusem X, a znali Leona XIII i mieli możliwość porównania, byli zgodni, że nie posiadał on majestatem oficyjalnej swego poprzednika, odznaczał się niezwykłą wprost dobrocią i słodyczą, której nikt nie mógł się oprzeć, oraz żywą inteligencją, jasnością niecodzienną umysłu i precyzyjnością w rozumowaniu i ujmowaniu faktów. Ponad wszystkim zaś górowała nieustraszonosc jego duszy. Meżowie stanu, wybitni politycy nie kryli się z wyrażaniem swego podziwu dla Papieża, chyląc swe doświadczone głowy przed przewagą jego wysokich zalet duchowych Mgr Merry del Val, który począwszy od 5 sierpnia 1903 roku zjawiał się codziennie rano z grubą teczką papierów dla zreferowania bieżących spraw Głowie Kościoła, opuszczał gabinet papieski zabierając z sobą akta załatwionych i zalegających spraw, a niekiedy i jakąś kopertę zaadresowaną do siebie, w której były różne ważne papiery, które

Pius X w ten sposób przekazywał do załatwienia swemu współpracownikowi. Ale nade wszystko wyróżniał go każdym razem zwiększająca się uczucie głębokiego podziwu dla człowieka, którego poznał w tak nadzwyczajnych okolicznościach i z którym dalsze losy jego życia miały być na zawsze i nierozdzielnie już związane.

NOMINACJA PAPIESKA

DYŁO to w niedzielę, 18 października 1903 r. Mgr Merry del Val opuszczał po codziennej wizycie urzędowej Papieża by powrócić do pracy wymagającej coraz to większego wysiłku i odpowiedzialności, gdy Papież podał mu jeszcze grubą kopertę zaadresowaną do niego, mówiąc zwyczajnym głosem, jakby coś zapomniał: „To dla Monsienera“. Mgr Merry del Val, przyzwyczajony już do takiej formy powiększenia swych codziennych zadań, nie zwrócił na to uwagi i pojechał się z Papieżem. Jakież było jego zdumienie, gdy otworzył później kopertę, znalazł w niej odrębne pismo papieskie, w którym Ojciec Święty oznajmia mu swa decyzję mianując go Sekretarzem Stanu definitywnie oraz uprzedzając że na najbliższym Konsystorzu (który się odbył w grudniu tegoż roku) wnieśli go do godności Kardynała Świętego Kościoła Rzymskiego. Pismo było zredagowane w niezwykle pochlebnych słowach. Zdumienie, jakie ożarowało Mgr Merry del Val, było nie mniejsze od zdu-

(Dokończenie na str. 6)

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Cmentarz wiejski

Na cmentarzysko chodzę w polach opuszczone
Jarosław Iwaszkiewicz

SCIEŻKA

Wzłobinna ciężarem trumien, pod straż chorągwi kościelnych
Pełno kałuż rozanych niby łyż w brzdach twarzą
Obok guszy złamanej ulewą listopadów
Pod męką Pańską rozpęta krzywo na płótnie księżycu
W płachtach styczniowych chłodów, w monotonnej muzyce kół
Pośród pól luskających wodami wiosennej powodzi
Gdzie wdowich wron łopotanie gdzie śmiertelną gwiazd lokomotyw,
Grzęząca w glinie trosk ziemskich, przez podzwrońce anielskie
Współ z sieroctwem, nuda powszednią i zbrodnią
Nieubłaganie do bramy rozwarającej ramiona
Na miejsce szumoczącej cisza głucha jak wnętrze wieczności
Prowadź droga królewska — zapamiętaj — droga dla Ciebie!

UGOR SAMOBOJCÓW

Nie deptaj zapiekłej ziemi — tutaj bojaźliwi
Kłóży się z życia sami wyszarpali, leżą
Jak bezwonne ziarna. Żalim krzyż nad nimi
Nie kreślił miłosierdzia. Ułajona wiedza
O nocach gdy do gardła pełna kłóskiem cieniem
I o dniu tak jaskrawym, że truchleją waży
I tylko jedna chęć przebiła móżg: milczenie
Niezgłębionego spania. Albo o pogardzie,
Która określić umie tylko gest przeczenia,
Krótki, jak doch ostatni. Albo krzyk miłości
Tak dziwny, że ci, których dotknął, zachwyceni
Pierzchałi ustawicznie, aby w zimną kąpiel
Niepamięci zanurzyć się i tonąć, tonąć. —
To wszystko leży tutaj, przywalone miedzią
Różnych piasków karmiących gorzki ciera i szalei,
I lepiej być się nigdy, nigdy nie dowiedziat
O czyni milczy ta ziemia skrzywdzona. Idź dalej.

PTAKI OGNISTE

Po których tylko ślad przelotu zastępną w powietrzu
Lama czerwieni drgająca na czarnych ekranach powiek
I pusty kształt — cień kolumny, morą wyoobraźni
dźwigniętej z przepaści wieków. Wy, pochowani na dzień
żrenic zeszklionych cierpieniem — o Wy, głębi
każdej myśli swobodnej — spadacie gniewną emą
Zwabiemi zapa-hem krwi dudnącej w dukach żył
aby się wdierać do wnętrza, gdzie niespokojny stuk pulsów
wola na alarm, gdy uszy muśnie sęk waszych piór
O wyplątzeni grzechotom wojen z ciepłych gniazd ciała,
W bezsensnych paleniskach przeobrażani w dym,
Wy, których święgot żelaza wprowadził z istnienia
nie atakujecie serca — ono jest kruchym bebenkiem
który gra terkot świeższy i szeleści dźwięczu sepleni
i nie potrafi strzelistą was ukolysać elegią
ani nakarmić krwią buntu, mlekiem ukoić snu.
Tylko siew oschłych słów rzucam Wam, skąpe okruchy
twardog: chleba mej wiary.
Wy drudzy zaś, przyrośnięci mocno do kości życia
nie głoście nienawiści do mnie w ten wieczór, za to,
że rozmawiam z powietrzem, że ręce
kamienne splatam, że noszę je ptakom z ognia.

Uwaga: Poemat, którego fragmenty tu przytoczono, powstał pod koniec wojny w karpackiej miejscinie Dukla



Błogostawiony Pius X

linii postępowania. Oczy wszystkich zwrócone więc były na jego najbliższego współpracownika, Kardynała Sekretarza Stanu Mariano Rampolla del Tindaro, jako najbardziej powołanego do prowadzenia w dalszym ciągu linii politycznej zgasłego papieża.

Gdy przeto na dziesiąty dzień (1 VIII.1903 r.) po zgonie Leona XIII (20 VII.) zaczęło się Konkławe, Kardynał Rampolla, którego urząd Sekretarza Stanu wygasł z chwilą śmierci Papieża, wysunął się na pierwszy plan „papabilisów“, zskakując w głosowaniach poważną choć jeszcze nie wystarczającą do wyboru (wymagana większość 2/3) ilość głosów. Wydawało się jednak, że w następnych głosowaniach zdoła on zromadzić rozproszone głosy i zdobyć tlarę. Ale w niedzielę, dnia 2 sierpnia, zaszła zupełnie nieoczekiwana i od kilku dziesięciu lat nie spotykany fakt. Oto cesarz Austro-Węgier, Franciszek Józef I, założył, za pośrednictwem Kardynała Puzyry, Księcia Biskupa Krakowskiego, tzw. „ekskluzywę“, czyli sprzedał przeciwko ewentualnemu wyborowi Kardynała Rampolla na papieża.

Wrażenie było piorunujące a jak opisuje naczynny świadek, Kardynał Mathieu, konsternacja w Świętym Kolegium zaplanowała taka, że Kardynał Dziekan, z trudem opanowując wzruszenie, zaprosił do przystąpienia do głosowania, które ze spokojem i zimną krwią wytrwałego dyplomaty przyjął się do protestu. Kardynał Dziekan Aurelia di Santo Stefano i oświadczył na łecinie: „Nihil invidiosius et nihil honestius potuit expectare“ — niczego bardziej przyjemnego i niczego zaszczytniejszego nie możemy oczekiwać. Po tym niebywałym „coup de théâtre“ przystąpiono do głosowania, które dało niezmiernie ciekawy wynik. Liczba głosów za Kardynałem Rampolla wzrosła niezwykle i

Włochom i przetrucie się na stronę Francji, której sympatykiem był Kardynał Rampolla; albo też, po zademonstrowaniu (przez wzrost głosów) sympatii dla Kardynała Rampolla, wybrać papieżem kardynała zupełnie apolitycznego. Zresztą nazwisko jego już wychodziło z urny, acz w niedostatecznej jeszcze cyfrowo liczbie głosów, w osobie Kardynała Sarto. Z tej strony jednak wyłoniły się niezwykle trudności, gdyż Kardynał ten — wybadany — kategorycznie oświadczył, że wyboru nie przyjmie. Był on zresztą tak pewien tego, że nie zostanie papieżem, iż wyjeżdżając z Wenecji na Konkławe, zakupił bilet powrotny! Gdy więc w poniedziałek liczba głosów za Kardynałem Rampolla zaczęła spadać, a natomiast wrosły głosy na rzecz Kardynała Sarto, którego sprzeciw wzmógł się jeszcze, sytuacja zrobiła się bardzo ciężka i groziła przedłużeniem Konkławe, które znalazło się na martwym punkcie — w warunkach dla Kościoła niepożądanych.

WÓWCZAS Kardynał Dziekan Aurelia postanowił podjąć interwencję za pośrednictwem Sekretarza Konkławe Mgr. Rafaela Merry del Val. Urząd Sekretarza Stanu wygasł ze śmiercią Papieża. „Sede vacante“ rząd Kościoła przechodzi na Święte Kolegium, które zebrane w Konkławe (dawniej 10 obecnie 20 dnia po śmierci papieża) załatwia wszystkie sprawy związane z wielką polityką międzynarodową Kościoła. W tym okresie sprawy te należą do kompetencji Sekretarza Konkławe, specjalnie w tym celu mianowanego, którym bywa zazwyczaj jeden z wybitniejszych praelatów Kurii Rzymskiej. Dawniej, gdy sedeswakancja przedłużała się tygodniami i miesiącami a nawet latami, funkcja ta miała swe znaczenie — dzisiaj jest ona krótkotrwała, bo i Konkławe nie trwają długo. Mgr Merry del Val był synem ambasadora hiszpańskiego w Rzymie, a potem w Londynie; gdzie się urodził w roku 1865. W

PIERWSZE SPOTKANIE

PÓŹNYM wieczorem udaje się Mgr Merry del Val do Papieża i zastaie go w tej samej małej celce, w której mieszkał podczas Konkławe. Pius X odmawia brewiarz. Musi być zmęczony po takim dniu Merry del Val usprawiedliwia się, ale sprawa jest pilna. Wydobywa z teki kilkadziesiąt pism notyfikacyjnych do cesarzy, królów, księząt, prezydentów republik, wskazuje Piusowi X w jaki sposób ma je sgnować — po raz drugi w życiu ci dwaj ludzie rozmawiają z sobą. Ostatni podnis położony. Mgr Merry del Val wstaje, prosi Papieża o błogosławieństwo i żegna się. Jego ostatnią funkcją jako Sekretarza Konkławe jest spełniona — teraz czeka go powrót do poprzedniego stanowiska Prezydenta Akademii Dyplomatycznej. Ale tu spotyka go niespodzianka. Pius X kładzie rękę na ramieniu żegnającego się i mówi doń z wyrzutem: „Jak to? Monsiener chce mnie opuścić? Nie, proszę pozostać ze mną. Nie poważam jeszcze decyzji i nie mam nikogo. Proszę zostać za mną jako zastępcę Sekretarza Stanu... a potem zobaczymy. Proszę oddać mi te przyjacielskie usługi.“ W ten sposób zaczęła się ścisła współpraca tych dwóch ludzi, którzy jeszcze wczoraj nie znali się zupełnie a zamienili ze sobą w ciągu dwukrotnego zetknięcia się zaledwie kilka słów. Gdy Mgr Merry del Val opuścił nekój papieski, pierwszyw człowiekiem, na którego się natknął, był pracownik Sekretariatu Stanu, Mgr Giacomo della Chiesa, który z zaciekawieniem oglądał nowy podpis papieski, zwracając uwagę na wielkie jego podobieństwo do podpisu Piusa IX: ten Monsiener miał w równe 11 lat później podpisywać fakty same pisma jako Benedykt XV!

Jako Prosektarż Stanu Mgr Merry del Val, który we krwi miał już tradycje dyplomatyczne, stykał się odąd codziennie z Piusem X, gdyż Szef Sekretariatu jest jedynym z całej Kurii, który codziennie, z samego rana, ma posłuchanie u Papieża. Omawia z nim wszystkie bieżące sprawy, a że

BŁOGOSŁAWIONY PIUS X

widziany oczami swego Sekretarza Stanu

mienia i wrażenia, jakie wywołała ta nominacja w kołach watykańskich i całym świecie. Była ona bez precedensu w dziejach Kościoła. Bo nowy Sekretarz Stanu był Hiszpanem, a dotąd, od wieków, od kiedy po raz pierwszy św. Karol Boromeusz został Sekretarzem Stanu, i wcześniej jeszcze, wszyscy, którzy zajmowali się czynnościami z zakresu spraw zagranicznych Stolicy Apostolskiej, byli Włochami. Nominacja cudzoziemca, Hiszpana na ten doniosły urząd watykański była czymś, czego się nie spodziewano, a przy tym nowy Sekretarz Stanu i desygnowany Kardynał skończył zaledwo przed tygodniem 38 lat życia, był więc młodzieńcem w dostojnym gronie ościwiałych kurialistów papieskich.

W WSPOMNIENIACH swych Kardynał Merry del Val pominął starannie wszystko, co dotyczy spraw związanych z akcją jego urzędu, gdyż zobowiązany jako dyplomata papieski surową przysięgą świętego Officium dochowywał jak najściślej tajemnicę urzędowej, nie mógł oczywiście spraw tych uczynić przedmiotem wspomnień. Jego poprzednik, Kardynał Sekretarz Stanu Herkules Consalvi, który w podobnych okolicznościach z Sekretarza Konklawe, odbywającego się w 1799 r. na wyspie San Giorgio w Wenecji, został najpierw Prosekreterzem, a potem Sekretarzem Stanu Piusa VII; spisane przez niego wspomnienia zostały opublikowane w dziesiątki lat po jego zgonie. Zresztą chodzi o sprawy znajdujące swój odzwierciedlenie w aktach archiwum watykańskiego; jeśli istnieją jakieś pamiętniki polityczne Kardynała Merry del Val, to spoczywają w tymże archiwum i zostaną ogłoszone dopiero około r. 2050, wraz z udostępnieniem partii archiwów z lat 1903-1914. Ale co stanowi wartość wspomnień obecnie ujawnionych, to nie strona dokumentacji poszczególnych epizodów historii Kościoła, ale odmalowanie postaci Papieża. Obok dobrego i łagodnego cechowała go niezwykła stanowczość w sprawach Kościoła, nie mająca zresztą nic wspólnego z uporem. Ten dobry i łagodny człowiek, gdy trzeba było wystąpić przeciwko szerzącej się herezji modernizmu, okazał bezkompromisową stanowczość. Dziś modernizm należy już do zabytków historycznych — dzięki tej bezkompromisowości Piusa X, która łączyła się z tym, co najlepiej określić po łacinie „fides intrepida”, nieustraszoną podobną do tej, jaką posiadali Papieże pierwszych wieków. A przecież czas był bardzo poważny. Rozdział Kościoła od Państwa we Francji w warunkach równych prześladowaniu, ułask i nadużycia w stosunku do Kościoła w carskiej Rosji, popieranie przez jej rząd mariażizmu, mającego osłabić spójność Kościoła w Polsce, i tyle innych spraw, w których papieskie stanowcze słowo wymagało wielkiego ducha nieugiętej wiary. Mając charakter stanowczy Pius X nie dopuszczał do sentymentalizmu. Jeśli widział, że ktoś jest miękki i przeczulony powiedział: „Esto vir” — „Bądź mężem” — i wymownym ruchem ręki podkreślał walor tych słów. Ten dobry i łagodny człowiek myślący zawsze o drugim i usuwający się ze swym „Ja” (oczywiście prywatnym) na ostatni plan, zdobywał się na słowa stanowcze, surowe, wypowiedziane z wielką godnością i stanowczością, bez śladu gniewu czy podniecenia. Każda jednak taka sprawa napełniała go uprzednio głębokim przejęciem, stając się dlań nie mniejsze przeżycie od tego, jakim rozmowa z Głową Kościoła musiała być dla drugiej strony. Papież nie miał swej radości, gdy wszystko „dobrze się odbyło” i sprawy zapowiadały zwrot na lepsze.

MECENAS SZTUKI I DOBRY ADMINISTRATOR

PAPIEŻ był człowiekiem wielkiej kultury osobistej i wielkiej wiedzy. Rozmowa z nim była zawsze wielką przyjemnością. Pius X ogarniał swym umysłem szerokie dziedziny i znał sytuację

krajów nawet bardzo odległych, z którymi nigdy sam się nie stykał. Był obok tego doskonałym stylistą i mówcą, co nie przeszkadzało mu być bardzo ścisłym i dokładnym w instrukcjach i poleceniach jakie wydawał. Lubił sztukę i muzykę i zwracał baczna uwagę na jej rozwój i znaczenie w życiu kościelnym. Słynny muzyk i kompozytor Lorenzo Perosi cieszył się szczególną opieką Piusa X, który zajmował się nim jeszcze jako klerykiem, sam go wyświęcił na kapłana i mianował Dyrygentem chóru Bazyliki San Marco w Wenecji. Po swym wyborze na Papieża powołał go do Rzymu i postawił na czele słynnej Kapeli Sykstyjskiej w Watykanie. Ilekroć wykonywano nowe oratorium lub kompozycje Mr. Perosi, Papież zawsze asystował temu wydarzeniu. Kardynał Ella Dalla Costa, Arcybiskup Bolonii, który wspomnienia Kardynała Merry del Val opatrzył słowem wstępnym, opowiada, że Leon XIII, gdy mu przedstawiono młodego kompozytora, powiedział doń „Przyjeżdżesz do Rzymu, gdy twój Patriarcha (tj. Kardynał Sarlo) zostanie wybrany Papieżem” — przepowiednia podwójnie się spełniła.

Ale Pius X był równocześnie czło- wiekiem o dużym zmyśle praktycznym i dobrym administratorem. Zaraz po wstąpieniu na Tron Papieski spostrzegł, że kierowanie Kościołem jest niezwykle trudne z powodu bardzo skomplikowanej i ściśle od siebie kompetencyjnie nie odgraniczonej organizacji poszczególnych komórek Kurii Rzymskiej, a zarazem z powodu ogromnej rozległości prawa kościelnego nie skodyfikowanego i wywołującego niepokonalne nieraz trudności w zastosowaniu praktycznym. Pius X zdecydował zaraz w pierwszych miesiącach swych rządów (2.III.1904) rozpoczęcie prac nad kodyfikacją prawa kanonicznego, stawiając na ich czele znakomitego prawnika i późniejszego Kardynała Sekretarza Stanu Piotra Gasparri. Pomędzy współpracownikami tegoż znaleźli się ludzie wybitni jak np. późniejszy Papież Pius XII, pod-

(Dokończenie ze str. 5)

ówczas Mgr. Eugenio Pacelli i Guardaroba czyli Szatny Papieski Mgr. Adam Sapieha, późniejszy Kardynał i Książe Arcybiskup Krakowski. Pius X nalegał na pośpiech, pragnął wielkie to dzieło widzieć za swego życia skończonym, co niestety nie było mu dane i dopiero następcą jego Benedykt XV ogłosił na Zielone Świątki 1917 roku nowy Kodeks, oddając przy tym hołd pamięci poprzednika i inicjatora. Do sprawy reorganizacji Kurii Rzymskiej Papież przystąpił z wielką energią i doświadczeniem rutynowanego wieloletniego administratora na poziomie parafialnym i diecezjalnym i w 1908 roku ten gąszcz administracji wiekowej został zreformowany i zorganizowany na nowo, tak, że Kuria funkcjonuje po dziś dzień na schemacie nadanym jej przez Piusa X, a 42 lata praktycznego zastosowania reform wykazały umiejętność i talent organizacyjny Papieża.

Jeśli idzie o jego indywidualność, powiedzmy „prywatna” i „niepapieska” wszyscy świadczą, że był to człowiek o niezwyklej skromności i prostocie; zawsze usiłował się w cień. Ani śladu pretensjonalności — czy pozy.

Papież Pius X był nie tylko skromny w stosunku do swych osobistych potrzeb, w których to sprawach otoczenie miało nieraz dużo kłopotu, by nie odmawiać, sobie tego, co było mu rzeczywiście niezbędne, ale również i w stosunku do swej najbliższej rodziny. Nie wykorzystał swego stanowiska aby ją podnieść w hierarchii społecznej, a trzy jego siostry, którymi się czule opiekował, mieszkaly w skromnym mieszkanku przy Piazza Rusticucci, skąd widziały okno pokoju mieszkalnego ich brata w Pałacu Watykańskim i żyły cicho bez jakichkolwiek pretensji zadowolając się niewielką pomocą materialną brata. Gdy Papież zmarł, okazało się, że nie pozostawił żadnego majątku i

w swym testamentie nie zostawił żadnego zabezpieczenia dla tych starszerek. Była w nim tylko nieśmiała prośba do jego następcy, by pamiętał o siostrach. Również i inni członkowie rodziny Piusa X nigdy nie starali się skorzystać z wielkiej godności swego krewnego, okazując w najtrudniejszych nawet sytuacjach życiowych niezmienną skromność, cichość, prosząc jedynie o ułatwienie w znalezieniu pracy.

Lata płynęły i Pius X widział ze zgrozą zbliżający się konflikt. „Rok 1914 — powiada do swego Sekretarza Stanu — nie skończy się w pokoju”. Aczkolwiek nie bawił się w przepowiednie, jednak w dniu 30 maja 1913 r. a więc na długo jeszcze przed wybuchem I Wojny światowej, powiedział do Ambasadora Brazylijskiego Dr. Chaves, który opuszczał swój posterunek i wracał do ojczyzny: „Ma pan szczęście, mogąc powrócić do Brazylii! Nie będzie pan widział wojny światowej!”

OSTATNIE CHWILE

WBREW rozpowszechnionym wieściom o poronującym wrażeniu, jaki wybuch wojny w 1914 roku miał wyrzucić na Piusa i na jego zdrowiu, Kardynał Merry del Val stwierdza, że trzymał się on fizycznie „dobrze, aż do ostatniej chwili. W pierwszej połowie sierpnia straszliwe upały męczyły go bardzo, a po „Fer Agosta” czyli po 15 sierpnia poczuł się lekko znużony, ale nie tylko on, wszyscy, którzy musieli w tym czasie być w mieście, odczuwali skutki gorąca. W dniu 18 sierpnia Kardynał Merry del Val czuł się niedobrze i zamiast osobiście zawiązać się na zwykłym posuchaniu „do referatu”, wyreczył się Substytutem (zastępcą) Sekretariatu Stanu Mgr. Canali. Ten powróciwszy doniósł, iż Papież zachował pełną przytomność i spokój, chociaż nie mógł już mówić. Około godz. 23.30 gdy Kardynał Merry del Val wszedł do pokoju, wyciągnął doń rękę i ścisnął dłoń z niezwykłą siłą, po czym trzymał ją przez długie trzy kwadrante wpatrując się w swego

Sekretarza Stanu, jak gdyby chciał mu wyrazić oczyma to wszystko, czego już usta powiedzieć nie mogły; w godzinę później już nie żył. Było to 20 sierpnia godzina po północy.

Tak się zakończył Pontyfikat, który wywarł taki wpływ na losy Kościoła, że nie podobna go porównać z żadnym innym minionych kilkuset lat. Najlepszym wyrazem tego był dzień 3 czerwca 1951 roku, gdy w bazylice św. Piotra, w której błogosławił po raz pierwszy „urbi et orbi” i w której spoczywa — jego trzeci Następca wyniósł do rządu Błogosławionych Kościoła.

Tak również skończyła się i kariera Kardynała Merry del Val. Szybko, w ciągu niepełnych dwu dni choroby papieskiej, podobnie szybko jak się zaczęła. Ze zgonem Papieża wygasa urząd Sekretarza Stanu, przyszedł nowy Papież, zmieniła się polityka, a z nią przyszedł inni ludzie. Kardynał Merry del Val tak ściśle związany z całym przebiegiem Pontyfikatu, zwłaszcza w dziedzinie polityki międzynarodowej Watykanu, usunął się w cień, pozostawiając po sobie wspomnienie człowieka o szerokich horyzontach myślowych, niezłomnym bezkompromisowo charakterze, który dzięki swym osobistym zaletom oraz pochodzeniu hiszpańsko-irlandzkemu wpro- wadził nowego ducha do dyplomacji papieskiej i w dziele odnowy przeprowadzanej przez Piusa X ma swą „magna pars”. Następca Benedykt XV mianował go Archibrezbiterym bazyliki św. Piotra i na tym stanowisku — usunawszy się od wszelkiej ingerencji w sprawy polityczno-kościelne przeżył o 16 lat swego wielkiego protektora, by wreszcie 26 lutego 1930 r. połączyć się z nim na zawsze.

We wspomnieniach swych pominął on jednak to, co byłoby nas może najbardziej interesowało, zwłaszcza, że jesteśmy pod wrażeniem świeżej beatyfikacji tego Papieża, a mianowicie sprawę jego świętości tak wielkiej, że już za życia, a natychmiast po zgonie „vox populi” wynosił go do aureoli świętości. Niewątpliwie, autor z naciskiem i niejednokrotnie podkreśla niezwykłą światobliwość i cnoty duchowe Piusa X, ale jak gdyby naumyślnie unika dociegania piórem do ostatniego słowa. Czuję się przyjęta przez niego powściągliwość i dyskrecję. Właśnie nie zresztą nie trudne, jeśli się porówna daty. Wspomnienie było pisane po roku 1917 a przed 1930 w czasie gdy już w Rzymie czyniono przygotowania do przyszłego procesu beatyfikacyjnego zmarłego Papieża. Najbliższy współpracownik i powiernik wielu jego myśli był jednym ze świadków, który obok Mgr. Bressan długoletniego kapelana i sekretarza osobistego, też wysoce światobliwego, był siłą rzeczy powołany do złożenia zeznań w toku procesu procesowego. Do czasu publikacji akt — ta zaś nastąpiła w wiele lat po zgonie Kardynała Merry del Val — zeznania świadków są tajemnicą. Są oni pod przysięgą zobowiązani do jak najściślej jej przestrzegania, a naruszenie tej tajemnicy zagrożone jest klątwą, od której zwolnić może tylko sam Papież. Nie też dziwnego, że pisząc wspomnienia pominął w nich Kardynał Merry del Val to wszystko, co mogłoby nawet pośrednio nosić cechy ułatwienia treści zeznań. Dziś akta procesowe są już jawne i jeśli dojdzie kiedyś do ich ogłoszenia, to być może zeznania złożone przez Kardynała Merry del Val stanowiąc będą walne uzupełnienie jego osobistych wspomnień.

Ale już z tego, co ujawniła nam wspomnienia — odnosimy przekonanie, że Pius X był osobistością, która w całym tego słowa znaczeniu była nienaspółna. Po wielkim dyplomacie i mężu Stanu Leonie XII, wielki mąż ducha i światobliwość. O to niechada ne wyrok wielkiej Madrości rządzącej światem która jednym nakładem na skronie leurowym wieniec sławy a drugim oświecenia je aureole światobliwości. Do tych cnoty należy błogosławiony Pius X.

Błogosławiony Giuseppe Sarlo-papież Pius X

(Dokończenie ze str. 4)

cuskich. Benedyktyni, Dominikanie, Jezuiti, przeżyją bolesne wewnętrzne konflikty i z areny twórczości intelektualnej, zejdzie w związku z tym wielu wybitnych duchownych. Trzech biskupów francuskich odmówi potwierdzenia dekretu, jeden z nich tylko się ze swego stanowiska wycofa, dwóch zrzeknie się godności biskupich. W samym Rzymie na tle sprawy „Action française” — kardynał Billot zrzeknie się purpury i spędzi resztę życia w klasztorze.

Świętość zawiera się w tajemnicy stosunków między Bogiem a duszą ludzką. Tajemnica ta rzuca swoisty blask Łaski na całe życie i czyny Świętego. Byłoby jednak grubym wypaczeniem u podstaw nauki Kościoła, gdyby chcieli świętości identyfikować z ludzką doskonałością. Zmaza grzechu pierworodnego ciąży na każdym człowieku i jego omylnność w sprawach ludzkich jest nieodłączną konsekwencją skazy:

Istnieje niewątpliwie w problematyce katolickiej pokusa szukania w nauce Kościoła nieomylnych wskazań nie tylko w zakresie wiary i zbawienia, lecz i również w sprawach naszego ludzkiego życia. Zapewne, ten kto by umiał naukę Chrystusa w sposób doskonały wprowadzać w czyn — byłby także umiał w sposób doskonały i nieomylny rozwiązywać wszelkie, najbardziej zawite i trudne problemy

ludzkie. Tak jednak nie jest i dlatego właśnie Kościół dając katolikom w swej nauce generalne wskazówki postępowania, każe indywidualnie wybierać właściwą drogę. W tej też dziedzinie mieści się zasada „in dubiis libertas” i ten zakres — „spraw spornych” jest jednocześnie dziedziną ludzkich błędów, sporów, dyskusji.

Postawiliśmy sobie jako zadanie omówienie postaci nowego błogosławionego papieża. Stwierdziliśmy, że obok wielu pięknych jego rysów, znaleźliśmy również i te „sporne” dziedziny aktywności, w których światobliwość nie ustrzegła go od błędów. Jest to oczywiście także stanowisko subiektywne, oparte o nowe przesłanki nowej historii tej epoki.

P IUS X wyniesiony został, jako błogosławiony, na ołtarze Pańskie. Życie tego sługi Bożego było po brzegi przepełnione tylko sprawami swego Mistrza, któremu służył według swych możliwości i sił. Był Pius X i kryształową moralnie postacią i bez wątpienia wielkim papieżem w trudnej, przełomowej dla Kościoła epoce:

Zagadnienia, jakie nam się nasuwają poznając Jego błogosławioną sylwetkę, są zagadnieniami codziennego życia Kościoła, w którym sprawy wieczne i nieomylnie krzyżują się ze sprawami ludzkimi i omylnymi. Kościół kroczy drogą, wytkniętą mu przez Zbawiciela i poprzez omyłki i mimo omyłek ludzkich. Budują one jego wielkość w tej samej mierze co wielkie czyny i wielkie zasługi.

Jest niemniej obowiązkiem moralnym katolików czynić wszystko, by Kościółowi w swej misji drogę ułatwiać i usuwać zbędne przeszkody. Stąd konieczność codziennego przemysliwania czy na drodze, po której jako katolicy kroczymy nie dostrzegamy przeszkód, które nasze ludzkie wysiłki mogą usunąć.

Dziś żyjemy w epoce wyjątkowo trudnej i odpowiedzialnej. Jesteśmy świadkami wielkiego zakreśtu dziejów ludzkości. Módlmy się do Boga, by w osobach świętych umacniał Swoją Kościół i by dał nam codziennie moc unikania i prostowania błędów, które grożą nam dziś tak samo, jak groziły poprzednim pokoleniom. Być może bowiem odpowiedzialność nasza jest dziś większa, bo i większy jest zakres naszej świadomości o sprawach człowieka.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

Z ROZWAŻAŃ O ŚWIĘTOŚCI

Świętość... Współczesny katolik posługuje się tym słowem w sposób zdumiewająco łatwy i bezmyślny, podobnie jak w ogóle łatwo i beztrudnie używa szablonowych określeń i operuje pojęciami, których istotnej treści albo w ogóle nie zna albo też zastępuje ją mglistą i w gruncie rzeczy nie mówiącą definicją. Odstępczo po przeszłości, a zwłaszcza po ubiegłym stuleciu ładunek fideizmu, intelektualne lenistwo, szczególnie silne w sferze życia religijnego, pokrywane niezręcznie błyskotliwym korzystaniem z utartej terminologii, wzrastająca równoległe z rutynizowaniem się praktyk obojętność w sprawach wiary — oto główne, choć nie wszystkie cechy postawy katolika, zwanego potocznie „metrykalnym”. Jeśli chodzi jednak o zagadnienie świętości, to nader często wykazują tu zadziwiająco ignorancję także i katolicy odznaczający się dość wysokim poziomem wiedzy i kultury religijnej, tak samo jak ich „odświętni” współwyznawcy nie wychodzą poza krąg płytkich, wytartych sformułowań, charakteryzując ich tak samo, banalne nieraz graniczące z lekceważeniem podejście. Problem świętości, jakkolwiek porusza i pasjonuje współczesnego człowieka, uznawany jest przy bliższym zetknięciu za zbyt trudny a jednocześnie zbyt mało aktualny i odpowiedni do roztrząsania dla specjalistów hagiografów i teologów. Niemniej pozostaje faktem, że wielu katolików nie posiada w zakresie wiedzy o świętości elementarnych wiadomości katechizacyjnych.

Często słyszy się takie deklaracje: jestem tylko człowiekiem, nie wymagacie hymnów świętym. Trudno z katolickiego punktu widzenia o bardziej absurdalne stwierdzenie. A przecież z podobnym przeciwstawieniem człowieka świętemu spotykamy się dość często. Toteż warto poświęcić trochę miejsca odpowiedzi na pytania, skąd bierze się ten pogląd, z jakiego źródła płynie ta gorsząca wręcz nieraz ignorancja i wypaczenie pojęć — zjawisko tragiczne w skutkach, bo usuwające sprzed oczu katolika — którego celem ostatecznym jest Bóg — najważniejsze dążenie — dążenie do świętości.

Wypada cofnąć się dość daleko wstecz, by wysledzić przyczyny tej deformacji stosunku do świętości. Trzeba spojrzeć uważnie na ten okres życia człowieka, gdy po raz pierwszy wyłania się przed nim to zagadnienie w formie konkretnych przykładów: postaci świętych Kościoła. A więc lata dzieciństwa, pierwsze lata młodzieńcze. Dziecko czerpie swą wiedzę o świętych, których stawia mu się jako wzór do naśladowania, z dwóch źródeł: z lektury i pogadańek, które na tej samej lekturze są przeważnie oparte. Tak więc docieramy do sprawy, która niejednokrotnie już zresztą była poruszana, a mianowicie poziomu opracowań hagiograficznych. Powszeczeńnie wiadomo, że większość tych dzieł, książeczek i opowiadań pozostawia wiele do życzenia, nie tylko pod względem literackim i sztaty ilustracyjnej. Nie bez powodu, niesfety, określenie „żywoty świętych” stało się synonimem naiwnego ujęcia, nudy i taniego dydaktyzmu. Święci, tak jak przedstawiają ich tradycje (zła to bardzo tradycja!) prace hagiograficzne, to postacie malowane farbą tak białą, że zacierają się ich rysy zewnętrzne, myśli, czyny. I oto taki śnieżno-biały święty idzie sobie przez utrzymany w kruczo-czerwonych barwach świat, od chwili narodzin aż do śmierci silny i utwierdzony w swych cnotach, nie znający wewnętrznych zmagani i walk i cały pochłonięty marzeniami o meczeństwie. Nierealność i cukierkowość tych ujęć, w połączeniu z naturalnie niezwykłą, zawsze fatalnym stylem bynajmniej nie przekonywała dzieci do podobnej lektury. Dziecko posiada bardzo silne wyczuwanie rzeczywistości i opowiadania o nieskazitelnych idealach nie tylko nie przemawiają do jego wyobraźni, lecz wręcz przeciwnie, wywołują silne i długotrwałe uczucie niechęci. Od lat mniej więcej dwudziestu wiele się wprawdzie w hagiografii, tak poistniej jak i obcej, zmieniło, co nie przeszkadza, że dawno opracowania nadal docierają do rąk dzieci, jak gdyby wstrząs pokoleń nie były żywym świadectwem szkodliwości skutków tej lektury.

Hagiografia dawnego typu uszwała starannie wszystkie ludzkie cechy świętego, odczytywano go, czyniąc idealną a pozbawioną indywidualności istotą. W atmosferze udawanej obywatelskiej zatapania wszystko włącznie z wiarą i miłością Boga i bliźniego,

niezwykle cnoty o których mówiło się przez cały ciąg opowieści, pod jej koniec niewiadomo już było właściwie na czym polegały. Świętość ograniczała się do cudów, których koło świętego działy się tysiące, cudów, których często Kościół nie potwierdzał swym autorytetem.

I tu docieramy do sedna problemu: dawna hagiografia w minimalnym stopniu uwzględniała prawdę historyczną, dawała chętnie posłuch legendom, nie dbając o przekazy źródłowe, przede wszystkim akta procesów kanonizacyjnych i tworząc baśń ze świętymi jako bohaterami, wprowadzała czasami szkodliwy ferment w dusze wiernych. Jak dalece zaś bezkrytycznie odnosili się niektórzy autorzy do wszelkich, nie wiadomo skąd pochodzących i na jakich podstawach opartych podań, świadczy taki choćby przykład: przeglądając niedawno pokaźny tom niemiec-

kie naśladowanie cudzych uczynków, choćby najszlachetniejszych, nie posiada wartości, jeśli nie wynika z wewnętrznej potrzeby, jeśli jest tylko naśladownictwem, jeśli podrykowane jest nie miłością Boga i bliźniego lecz jedynie chęcią zdobycia sobie zasługi. Zapewne godne pochwały jest czerpanie przykładu z życia wielkich świętych i w wielu wypadkach jest to droga słuszną we własnym dążeniu do świętości — nie należy jednak zapominać, że każdy ma daną własną drogę, jedyną, przeznaczoną tylko dla niego. Miłość Boga wyraża się własną myślą, własnym uczynkiem, przed Bogiem jesteśmy zawsze sobą, tacy jak jesteśmy naprawdę i wszelkie sztucznie odgrywane role tutaj są jedynie gołym pozalowaniem tanim komicznością.

Na świętość nie ma recepty. Istnieją ludzie, których głód Boga, głód świętości prowadzi w mury klasztor-

czywiście drogami wiodącymi ku Niemu a nie wygodnym schronieniem. Mimo to problem tzw. świętych współczesnych nie przestaje istnieć. Katolicy odczuwają potrzebę wielkich wzorów, które by były wzorami współczesnego życia katolickiego, wielkich orędowników, którzy by wyszli spośród nich, musieli w swym życiu doczesnym rozwiązywać te same problemy, borykać się z tymi samymi trudnościami, wykuwać swą świętość w gorączkowej atmosferze, nalożonej sprzecznościami i wątpliwościami, w atmosferze naszych czasów. Stąd wielka popularność wszystkich świeckich kandydatów na ołtarze, którzy związani byli jak najściślej ze społeczeństwem, których codzienne życie na pozór nie dawało okazji do pogłębiania rozwoju wewnętrznego, kontemplacji, czy wręcz, że powtórzę znowu sformułowania, które się słyszy, do świętości — owych lekarzy, lotników, szarych pracowników w wielkich miastach.

I właśnie przykłady nowoczesnych świętych najsukcesyjnie rozwijają fałszywe wyobrażenia i każą innym spojrzeniem patrzeć na problem świętości i wszystkie tamte odległe postaci, zamazane atramentem jarmarcznych hagiografów. Stają przed nami w olśniewającej aureoli świętości, która nie wspólnie nie ma z żółtymi krawkami okalającymi głowy świętych na taniach litografiach. Widzimy trud ich drogi, ciężkie tragiczne, latami nieraz trwające zmagania, walki, z których się podnoszą i grzechy z którymi walczą. O świętość bowiem trzeba walczyć stale, z żelazną wytrwałością, z ufnością i nadzieją w Boga.

I — o czym zapomnieć nie wolno — z olbrzymim heroizmem. Ale dążyć do świętości, aby ją powoli osiągać nie wystarczy praktyka cnot w minimalistycznym by tak nazwać ujęciu, ale w stopniu heroicznym. To znaczy rozwijać w sobie życie Łaską i korzystanie z darów Ducha św., by praktykując cnoty kierować się nie tylko nadprzyrodzoną roztropnością lecz czynić to w pełni Łaski, w natchnieniu Bożym, które kieruje nas nieustannie ku spełnianiu aktów Dobra. Oto jak określa Benedykt XIV czym są cnoty praktykowane w stopniu heroicznym: „praktykowanie cnoty z niezwykłą gotowością, łatwością, radością wewnętrzną pod wpływem nadprzyrodzonych motywów i bez ludzkiego rozumowania, z zaparciem się siebie i w pełnym opanowaniu naturalnych skłonności człowieka”.

Przed blisko rokiem toczyła się na tych łamach dyskusja na temat książki Guy de Larigaudi. Jeden z dyskusantów zarzucił Larigaudiemu pychę i niezrozumienie istotności świętości, że marzył on i w utworach swych wyrażał to otwarcie, by zostać świętym. Nieporozumienie dotyczyło nie tylko postaci Larigaudiego, ma ono znacznie szerszy aspekt. Święci to nie tylko przecież ci, których Kościół wyniósł na ołtarze i oddaje im publiczną cześć, ale także tysiące wybranych, którzy przeszli przez ziemię bez rozgłosu i po śmierci pozostali dalej nieznanymi przez ludzi. Tak podobno się Bogu, człowiek daremnie będzie zawsze się zastanawiał dlaczego imiona jednych umieszczone są w katalogach świętych Kościoła, innych zaś nie — choć jednak weszli do chwale Bożej. I jeśli Larigaudie czy ktoś inny marzył o zostaniu świętym, to było to marzenie o świętości a nie o przejściu przez procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne i kulcie wiernych.

W naszych czasach odczuwa się szczególnie potrzebę świętości katolików, świętości codziennego życia, potrzeby pełnych, prawdziwych katolików, którzy idą przez świat oddając każdemu swym czynem chwałę Bogu, urzeczywistniając nakaz czynnej miłości Boga i bliźniego.

Potrzeba katolików, którzy swa gorącą wiarą zainicjują wokół siebie świat i ludzi, sami uświęceni, uświęcając swych bliźnich i ich sprawy. Potrzeba nam radosnych świętych, którzy podnoszą dusze ze zwątpienia i pesymizmu, ukazują drogę wyrzeczenia się oddania Bogu i odnalezienia w tym radości ducha, zresztą święty musi być radosny, gdyż jak mówi św. Franciszek Salowy „Un saint triste est un triste saint”. Ale wade wszystko współczesny katolik odczuwa potrzebę świętości, która kształtowała się będzie i rozwijać w życiu młocznym, potrzebie tymu świętego, który zbliżając się z dala do Boga, uświęcając się wewnętrznym obracaniem będzie otrzymywał Łaskę na prace nad odnalezieniem ludzkiego bytowania na ziemi.

J. A. Górski



Głowa Chrystusa - fragment gotyckiej rzeźby z XV w.

kich żywotów świętych, wydany przed czterdziestu laty, natrafiłem m. in. na opis cudu, który polegał na tym, że pewien święty w okresie niemowlęctwa, systematycznie w posty i suche dni odmawiał ssania matczynej piersi. W tym samym dziele zresztą znaleźć można było opisy bardziej jeszcze osobliwych faktów.

Nie dziwny się więc, że katolik karmiony w młodości i to zazwyczaj nader obficie lekturą tego rodzaju wyrobił sobie pojęcie, że świętym przechodzi się na świat, że w czasie jego życia na ziemi wszystko za niego robi Pan Bóg i że między świętym a tak zwanym zwykłym człowiekiem rozpościera się nieprzebyta przepaść. Rezultaty hagiograficznych wykładów były poza tym opakane pod innym względem: wzór wydawał się tak niedościgły, że młody człowiek z góry wykluczał możliwość naśladowania go. Wrażenia dzieciństwa przeszły w wiek dojrzwały nie poddawane już nigdy później rewizji. I tak już zostało: obca, daleka, przerażająca nawet niektórych świętość.

Uważa się najczęściej, że świętość — niezwykle fakty, nadludzkie cechy charakteru. Świętość to straszliwe umartwienie, męczęńska śmierć, stałe występowanie w życiu świętego cuda... Przeciwny katolik nie zdaje sobie sprawy, że wszystko to nie stanowi o świętości, że ją jedynie w pewien szczególny sposób potwierdza. Świętość bowiem to po prostu prawdziwy, konsekwentny, pełny katolicyzm. Stając się katolikami, otrzymując łaskę Chrystu św. każdy z nas staje w początku drogi wiodącej ku świętości. Tylko, że często świadomie się o tym zapomina, że wygodniej jest nie pamiętać. Nieraz słyszy się pytanie: dobrze, jak dążyć mam do świętości? Są ludzie, którzy odpowiedź na to pytanie szukają właśnie w żywotach świętych, tylko, że uwagę swoją skupiają na faktach, które w życiu tamtych ludzi były jedynie konsekwencją, dostrzegalnym wykładnikiem ich wewnętrznej postawy. Wiarą martwa jest bez uczynków, jak mówi Pismo św., jednak same mecha-

row, innych popycha w najbardziej rwący wir życia. Wszystko zależy od powołania odczuwanego przez człowieka, od jego typu psychicznego, od epoki i środowiska w którym żyje. Tak, właśnie, od epoki i środowiska, choć nie w tym znaczeniu, w jakim często a błędnie się to uzależnienie interpretuje. Warunki, w których żyje człowiek determinują jego zainteresowania, postawę, rodzaj i typ działalności. Oczywiście, w stosunku do świętych nie można tego traktować szablonowo, określając model niejakiego świętego dla każdej epoki i szerokości geograficznej. Przeczu temu nie tylko historia, lecz przede wszystkim samo pojęcie świętości. Wyrzeczenie się własnego „ja” i całkowite oddanie Bogu, etapy, które przechodzi święty dążąc do doskonałości, do pogłębienia w sobie życia nadprzyrodzonego, wszystko to, co pozostaje wewnętrzną tajemnicą jego duszy, znana tylko Bogu a stanowiącą o świętości danej jednostki odróżnić trzeba wyraźnie od form zewnętrznych, w których się świętość wyraża. Niewątpliwie istnieją warunki polityczne i społeczne, które bardziej sprzyjają życiu religijnemu a inne mniej — nie one jednak decydują o stosunku człowieka do Boga. Działanie Łaski nie podlega żadnym ograniczeniom, toruje ona sobie drogę do duszy każdego człowieka, bez względu na czas i okoliczności, w których żyje. I teraz tylko od niego samego zależy czy potrafi przyjąć otrzymany dar, rozwijając go w sobie, żyć jego pełnią. Bo przecież na tym właśnie, na tej umiejętności polega świętość. I teraz dopiero wyłania się następne zagadnienie. Gdzie jest na świecie najwłaściwsze miejsce dla człowieka żyjącego pełnią Łaski, dla świętego. Takie miejsce jest wszędzie. Najzupelniej jakowa jest dyskusja, a toczy się ją niekiedy, starając się rozstrzygnąć gdzie łatwiej i pożytecznie praktykuje się czynną miłość — w klasztorze czy w życiu świeckim. Tutaj nie ma żadnej różnicy, obie drogi ją jednak właściwie i miłe Bogu, jeśli tylko są one rze-

NOTKI KULTURALNE

W Związku Radzieckim Sergiusz Gerasimow realizator filmów „Młoda Gwardia” i „Wyzwolone Chiny” przygotowuje obecnie film o Puszkine. Łukow — realizator „Donieckich górników” pracuje obecnie nad filmem „Godzina Moskwy”. Budowa kanału Wołga — Don będzie tematem filmu pt. „Zwycięzcy”. Reżyser Feinzimmer przygotowuje film „Dzień wschodni nad Niemnem” (o życiu litewskich kotłochowów).

W studiach Leningradu Sergiusz Zabarowski ukończył nakręcanie filmu naukowego na temat koordynacji ruchów u zwierząt i ludzi.

Według „New Chronicle” szereg kół ciałow prezbiteriańskich w Anglii zwróciło się do swych władz z prośbą o zezwolenie zastępowania niedzielnych kazów — wyświeleniem filmów „umożliwiających”.

Ostatni film Louis Jouvela „Historia miłości” będzie wyświetlony po raz pierwszy w teatrze wielkiego artysty l'Atthénée w Paryżu.

Na V dorocznym Kongresie Międzynarodowego Związku Filmów Naukowych, który odbył się w końcu września w Hadze, zebrani podjęli uchwałę, że „międzynarodowa współpraca w dziedzinie wiedzy musi przyczynić się do utrzymania pokoju między narodami dla dobra ludzkości. We współpracy tej film musi odegrać odpowiednią rolę”.

W Japonii, w Nagasaki, zmarł przed kilku tygodniami znany japoński uczyony dr. Takashi Nagai. Dr. Nagai był wierzącym katolikiem, w czasie wybuchu bomby atomowej stracił żonę i od tej chwili poświęcił się pracy nad badaniem skutków tej zbrodniczej „współczesnej broni”, brał czynny udział w akcji pokojowej.

W Hiszpanii zabroniono kolportażu szeregu książek zagranicznych autorów. Wśród książek, które znalazły się na „indeksie” jest „Boiska Komedia” Dantego — uznana jako niewychowawcza.

W Rzymie zmarł niedawno w wieku 58 lat O. Giuseppe Messina profesor nauk bliźnich — znawca języków irańskich i sanskrytu. Napisał on szereg prac na temat życia religijnego w Persji, o buddyzmie, manicheizmie i wiele innych.

Niedawno w Rzymie dokonano ciekawego odkrycia archeologicznego. Odnaleziono bowiem pod Forum grobowiec pochodzący z VIII w. przed Chrystusem.

14 października w Moskwie rozpoczął się ogólnopaństwowy festiwal samorodnej twórczości artystycznej. Do Moskwy przybyli najlepsi z najlepszych wykonawców w drodze eliminacji prowincjonalnych. O tym, jak szerokie kregi zatacza ta akcja, może świadczyć liczba przegranych kół artystycznych, z których wyłoniono najlepszych. Jest ich 114.000. Bierze w nich udział powyżej 2.000.000 ludzi.

Amerkańskie władze okupacyjne przezwą wystawione w galerii monachijskiej dzieła sztuki do Salzburga, skąd ma być przesłane do USA. Mimo, że akcja ta przeprowadzona jest w tajemnicy, w Monachum mówi się o niej coraz głośniejsze.

Radziecki chirurg Włodzimierz Filatow współpracując z lekarzami Biborem i Skorodzińską wynalazł nowe lekarstwo do leczenia zapalenia spojówek i innych chorób oczu. Lekarstwo to znalazło również zastosowanie w leczeniu zapalenia stawów, oswobodzenia żołędzi, gruźlicy skóry, płuc i przełyku. Lekarstwo to nosi nazwę „Fibs”.

Na międzynarodowym konkursie pieśni poświęconych walce o pokój i przyjaźń między narodami, który odbył się w Rumuni i nagrodę otrzymał W. Belyj (ZSRR) Radu Paladi (Rumunia), Vano Muradeli (ZSRR). II nagrodę Gunther Kochan i Andreé Asriel (NRD), Władimir Zucharow (ZSRR), Jon Chirescu (Rumunia) III nagrodę Assen Karastoiarow (Bulgaria). A. Gradsteyn (Polska), Rank Gyorgy (Węgry), Cian Wei Can (Chiny Ludowe).

W Rumunii istnieje 17 teatrów kukielkowych. Teatry kukielkowe datu w r. 1600 przedstawień dla 340.000 widzów.

Węgierska opera w Budapeszcie wyświeli w r. 1600 operę St. Moniuszki „Halke”.

Jan POGORSKI

ROK TEMU OTWARŁY SIĘ WROTA TYBETU

AZJATYCKIE PRZEMIANY (2)

POTEŹNY ruch przemian społecznych, gospodarczych i politycznych, który ogarnął cały niemal kontynent azjatycki, odbijał się dotychczas od śnieżnych himalajskich szczytów. Dzikie, tajemnicze i groźne państwo tybetańskie pozostawało daleko od wielkich ruchów rewolucyjno-wyzwoleńczych, których echa z trudnością tylko

dojrzewają kołowych, przemysł nie istnieje, a rzemiosło w kolebce. Najwyższą władzą jest teoretycznie Dalaj-Lama, „żywy Budda“, którego dusza ma wcielać się kolejno w ziemskie postaci wielkich Lamów. Gdy Dalaj-Lama umiera, kapłani rozpoczynają poszukiwania następcy, który powinien urodzić się dokładnie w momencie

narodzin Hansa Vervelde, szwajcarskiego inżyniera dźwięku, którego specjalnością jest nagrywanie pieśni i muzyki wszelkich ludów i szczepów. Opowiada on, jak wraz z żoną, Inga, wybrał się w jesieni 1950 r. do Tybetu, aby uwiecznić chóry i orkiestry klasztorów tybetańskich.

„W Kalimpong — pisze Vervelde — wahaliśmy się czy pojechać w góry mimo wieści o grożącej wojnie chińsko-tybetańskiej. Od tego projektu odmawiał nas pułkownik brytyjski Ranger — rodzaj tybetańskiego Lawrence'a — który był ni mniej ni więcej tylko wysoce wtajemniczonym lamą sekty buddyjskiej klasztoru w Khampa-Bahtse“.

„Po paru tygodniach dotarliśmy do Szamdo, na granicy chińsko-tybetańskiej. Była to średnio-wieczna forteca lamów, w której kapłani mieli zamiar się bronić przeciwko nadciągającej armii chińskiej. Wieczorami śpiewali nam starodawne inwokacje religijne, które nagrywaliśmy“.

Jak wiadomo z innych źródeł, właśnie w Szamdo rozegrała się pierwsza i jedyna bitwa tej całej kampanii. Kiedy gross armii chińskiej dotarło do wrót osady, chińscy pirotechnicy wypuścili tejsze nocy na klasztor deszcz rac ognistych i rakiet. Przerażeni żołnierze tybetańscy uciekli w popłochu a większa część ludności powitała spokojnie wojska sąsiadów.

„Wokół Szamdo i na drodze do Lhasy a także dalej na północ — pisze dalej Vervelde — wszędzie wojska tybetańskie przechodziły na stronę zwycięzców. Armia Ludowa ciągnęła powoli niosąc sztandary szyte jedwabiem ze znakiem Panczen Lamy, wielkiego kapłana, którego władza rozciąga się w północno-wschodniej części kraju. Żołnierze chińscy nie nieśli żadnej broni. Mieli oni bowiem do pokonania najsilniejszego przeciwnika jakim jest wysokość. Na 4 tysięcy metrów ponad poziom morza parę kilo bagażu może okazać się śmiertelne. Nawet jakiś muły zatrzymywały się co kilkadziesiąt metrów i sapaly. Żołnierze chińscy posuwali się wolno z wólpzymknętymi oczyma, z pustymi rękami, bez broni. Mijaliśmy ich ławo, mając młode jak przyzwyczajone do wysokości.“

Tak dotarliśmy do Lhasy, gdzie kapłani przygotowywali się do uroczystej koronacji młodocianego Dalaj-Lamy“.

W dalszym ciągu swego opowia-

hołdu przez 200 Wielkich Lamów z całego Tybetu.

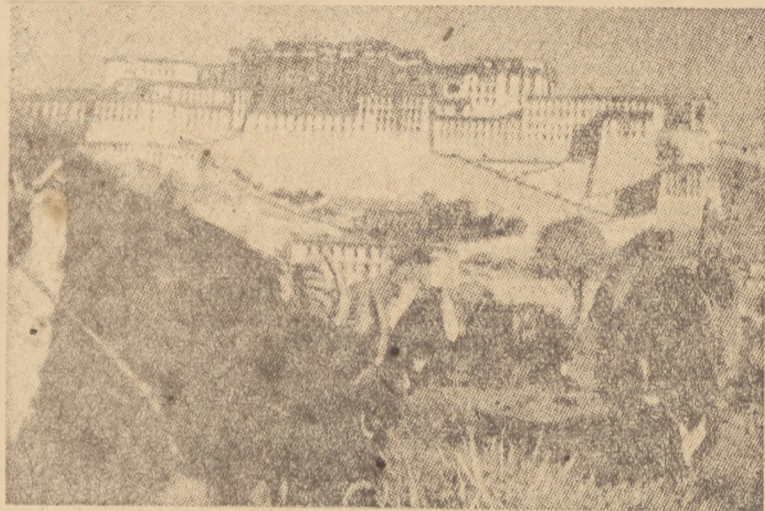
UCIECZKA DALAJ-LAMY

Wielkie Kolegium Lamów zdecydowało, że „żywy Budda“ nie może wpaść w ręce wojsk chińskich. Złazcza, że, wedle starożytnej wróżby, Dalaj-Lamów panujących w Lhasie miało być tylko 13. Obecny Dalaj-Lama jest już czternasty z kolei. Dlatego też, gdy nadciągająca armia chińska była u wrót Lhasy, Dalaj-Lama opuścił swój piękny zimowy pałac Potala i ruszył na południowy-zachód.

Szlak wędrówki wynosił niewiele ponad czterysta kilometrów i

Przez Lhasę zaczęły przejeżdżać dwukołowe wózki zaprzężone w jaki i bawoły, pełne ryżu i zamrażanych ryb. Ponieważ temperatura wynosiła około 15 stopni poniżej zera, nie było obawy, że ryby odmarną i zepsują się. Dziwiłem się jednak, że nikt spośród żołnierzy nie jadł tych prowiantów. — To dla naszych braci, dla głodnych Tybetańczyków — wyjaśnił mi woźnica.

W grudniu stłuczona noga Ingla rozboleła ją na nowo. Wojskowy doktor Ham, leczył ją przez parę dni niezwykle skutecznie. Udało się nam jeszcze nagrać musztrę wojskową chińską i kilka ceremonii religijnych na cześć Panczen-Lamy. Wreszcie w marcu



Pałac Potala w Lhasie — Zimowa siedziba Dalaj Lamy

dochodzili do tego najbardziej chyba zamkniętego zakątka świata.

I podczas gdy sąsiednie kraje jak Chiny czy Indie przeżywały wstrząsy głębokie, dzięki którym uwalniały swoje narody bądź od obcego panowania, bądź od rodzimych feudałów, ludność tybetańska wiodła nadal swój spokojny i prymitywny żywot. Jak przed kilkuset laty tak i teraz kapłani-lamowie obracali szeleszczące młynki modlitewne a ciemna i zabobon na ludność żyła w średniowiecznym prymitywie.

Chiny, osłabione w okresie rozkładu państwowości pod ciosami kolonializmu, straciły na pewien czas kontrolę nad tym terytorium, które stanowiło jednak zawsze integralną część chińskiego obszaru państwowego. W czasie więc, gdy cały naród chiński przechodził wielki przełom społeczny i polityczny — Tybet pozostawał odcięty od świata, w kulturalnym i cywilizacyjnym zastoju. Odrodzone Chiny Ludowe przywróciły w pierwszym rzędzie prawa suwerenne Chin nad terytorium tybetańskim, jednocześnie jednak pokojowa wyprawa Chińskiej Armii Ludowej niosła Tybetańczykom skarby postępu i cywilizacji, wyzwolenie spod rządów zacofania i feudalnego ucisku.

TAJEMNICZY „DACH ŚWIATA“

Tybet to jeden z nielicznych krajów, który bywa w atlasach oznaczany jeszcze stosunkowo dużą ilością białych plam. Pośród najwyższych szczytów świata, na szerokim płaskowzgórzu środkowym oraz w dolinach powstających tu rzek żyją biedne i zacofane tybetańskie plemiona koczownicze. Rzadko udaje się białemu podróżnikowi pokonać przełęcze, które wznoszą się na 4 i więcej tysięcy metrów, przezwyciężyć surowy, mroźny klimat, przełamać nieufność i wrogość górskich szczepów. A już na palcach policzyć by można tych śmiarków, którzy dotarli w ciągu ostatnich dwudziestu lat do Lhasy, tajemniczej stolicy tego feudalno-teokratycznego państwa.

Państwo to stanowi bowiem jakby muzealny zabytek żywcem przeniesiony z wczesnego średniowiecza. Trzy miliony mieszkańców żyjących na niecałym milionie kilometrów kwadratowych utrzymują się głównie z pasterstwa i prymitywnego rolnictwa. W całym kraju nie ma żadnych dróg ani po-

śmierci poprzedniego Dalaj-Lamy. Obecny władca liczy dopiero siedemnaście lat.

W rzeczywistości rządy sprawują wyżsi kapłani w Lhasie. Rządzą oni za pośrednictwem tysięcy klasztorów i tysięcy wędrownych mnichów. W klasztorach, rozsiadanych po całym kraju, kapłani dzielą swój czas na kontemplację, choć nielicznej trzody, poruszanie młynków modlitewnych i święte, obrzędowe tańce. Posłuszni im są naczelnicy plemion i ciemna, zabobonna ludność.



Chikjab Klenbo, minister skarbu Dalej Lamy, członek poselstwa tybetańskiego do Pekinu.

Jedynym połączeniem ze światem zewnętrznym są nieliczne górskie szlaki karawan, którymi zdążają czasem wierni z Indii lub z Chin.

Okazało się jednak, że z chwilą zwycięstwa Chin Ludowych tymi górskimi szlakami, wiodącymi z Indii, zaczęły przesiąkać na terytorium Tybetu przedstawiciele różnorodnych wywiadów, usiłujących wykorzystać Tybet jako bazę kontrrewolucji.

Okazało się bowiem, że jakieś misje naukowe anglo-amerykańskie zbyt gorliwie badają złoża mineralne Tybetu w poszukiwaniu rudy uranowej. Inne misje nie mniej „naukowe“ znaczący tereny specjalnie nadające się na lotniska wojskowe. Może komuś marzyło się, by przekształcić „Dach Świata“ na jakiś gigantyczny lotniskowiec położony na pół drogi między Moskwą i Pekinem...

• POKOJOWA WYPRAWA

Dopiero obecnie zaczynają napływać do Europy relacje ludzi, którzy byli naoczni świadkami tego, co prasa amerykańska nazwała „pokojowym podbojem Tybetu“. Jednym z najciekawszych świadectw jest opowia-

nia Vervelde opisuje rewoltę pałacową regenta Tata Impoche przelożonego klasztoru Tygrysiej Skaly, który usiłował zagarnąć władzę, a następnie wspaniała koronację szesnastoletniego Dalaj-Lamy z całym dwudniowym ceremoniałem picia herbaty, trąbienia w pięciometrowe trąby, składania

carskiego. „Chiński generał Juan — pisze Vervelde — zrozumiał, że nie byliśmy szpiegami, choć dziwił się nieco naszemu wyposażeniu: płytom, magnetofonom, taśmami dźwiękowym. Mogliśmy chodzić swobodnie po mieście i okolicach, fotografować i przypatrywać się wszystkiemu.“



Prymitywnie uzbrojeni wojownicy tybetańscy

przechodził przez szereg osad i klasztorów jak Nethang, Szuszul, Nagrtse, Rolung, Gyantse, Kalaszar, Tuna. Żeby jednak dotrzeć do południowego klasztoru w Jantung, położonego na samej granicy indyjskiej, Dalaj-Lama potrzebował aż czterdziestu kilku dni. Wszędzie bowiem czekały na niego przyjęcia, tańce religijne, orkiestry i chóry.

Wzdłuż całej drogi specjalni kapłani sypali ścieżynkę z kamyków, by odpędzić złe duchy. Dalaj-Lama podróżował bądź konno, bądź w lektyce, którą nieśli kapłani, wypoczywając co parę kroków.

NAJAZD CYWILIZACJI

Podczas gdy młodociany władca uchodził z kraju, w Lhasie i całej wschodniej części Tybetu rządy objęły wojskowe władze chińskie i wyznaczona przez nich administracja, która ma przede wszystkim na celu podnieść Tybet cywilizacyjny. Ciekawe są pod tym względem wrażenia notowane przez wspomnianego już inżyniera szwaj-



Chińska armia ludowa zakłada telefony.

kilkaset kilometrów dróg bitych. W planie istnieje cała sieć drogową, która ma objąć na razie wschodnią i południową część kraju. Wszędzie widzieliśmy żołnierzy i pielęgniarki chińskie spieszące z pomocą, niosące żywność, lekarstwa, odzież“.

Tyle inżynier Hans Vervelde, którego na pewno nie można podejrzewać o sympatie komunistyczne. Skądinąd wiemy, że między rządem Chin Ludowych a Dalaj-Lamą podpisany został w lecie bieżącego roku układ, mocą którego Tybet został formalnie związany z Chińską Republiką Ludową, zachowując jednak szeroką autonomię.

• Treść tego układu jest niewątpliwie ważna. Ważne jest i to, że Dalaj-Lama powrócił już do swego pałacu Potala w Lhasie. Ale najważniejszym jest fakt, że ludność zacofanego, drżemącego w feudalnym odrętwieniu i szkodliwej izolacji państwa tybetańskiego korzysta od teraz z wszystkich dobrodziejstw cywilizacyjnych, jakie niesie mu bezinteresownie wielki naród chiński.

Zbigniew LEWAR

SPRAWA WIKTORA I JOASI

CHO CIAŻ mięso na kotlety było od rzeźnika z sąsiedniej ulicy, a zająca kupiono na straganie bazaru, który znajdował się o trzy ulice dalej, chociaż jajka gosposia przywoziła z podwarszawskiej wioski, a sałata rosła do niedawna na grządkach ogródka przy domu, obiad — jak przypominał dyskretnie gospodarz — był w każdym calu europejski. Ponieważ mięsa nie trzeba sprowadzać z Chicago, a na zające polować we Francji, ponieważ jajek nie warto przywozić z Florencji, a sałaty zrywać na Lazurowym Wybrzeżu, goście przytakiwali dwuznacznym chrząkami, które gospodarz mógł i potrafił interpretować jednoznacznie.

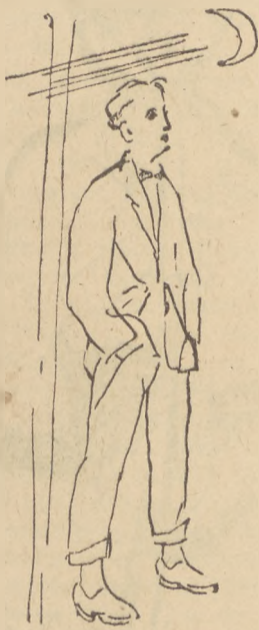
Obiektywizując sytuację można na obronę tej jednoznacznej interpretacji stwierdzić, że — dzięki gospodarzowi — mówiono wiele o Chicago i Florencji, o Francji i Lazurowym Wybrzeżu. Jeśli się doda, że wino, kupione na Marszałkowskiej, pochodziło istotnie z Włoch, a zająca wymyślił przy rządzonego zpowiedziano z super-francuską wymową jako „specialité de la maison”. Sprawa europejskości obiadu jest niemal bezdyskusyjna. Ostatecznie przesądza ją łatwy do sprawdzenia fakt, że Czerniaków leży w Europie.

Po tym europejskim obiedzie wyczerpawszy tak zwane tematy ogólne, towarzystwo podzieliło się na grupy, zespolone więzią wzajemnej sympatii czy antypatii, której potrzebna jest możliwość oglądania niemiłej osoby.

Grupę zebraną na werandzie łączyło dodatkowe pragnienie. Ponieważ wszyscy doskonale znali Viktora a jego ostatnie przeżycia wymagały komentarzy, nadszedł czas najwyższy na omówienie tej sprawy. Wszyscy, oczywiście, żalowali, że go tu nie ma, wszyscy woleliby to, co zamierzają mówić między sobą, powiedzieć przy nim, ale wszyscy zgodzili się, że w jego sytuacji zrozumiałe jest unikanie ludzi, a zwłaszcza tych, którzy go znają od dawna i wiedzą, jak ta historia głęboko w nim tkwiła.

Początkowo rozmowa miała chaotyczny przebieg zwykłej pogaduszki. Nikt się z nikim nie spierał. Jeden drugiego uzupełniał. Ustalono, że dla sprawy Viktora innego rozwiązania nie było. Tylko taki mógł być jej finał. Tylko takie rozstrzygnięcie zostawało. Każdy zgadzał się z tym, że Wiktor postąpił w jedyny sposób. Wszyscy czuli, że rozwiązanie to niemal beznadziejne, ale nikt nie oponował, że konieczne. Może i na tym rozmowa by wygasła, gdyby nie projekt Czesława. Zapalony naukowiec, autor kilku broszur i jednej większej pracy z zakresu swojej umiłowanej socjologii nie zadowolili się — jak to ku złe maskowanemu zgorzeniu kilku osób wyraził — „plotkarskimi komunałami”. Prowokował do ciekawej — jego zdaniem — i pożytecznej próby.

— To nie będzie wobec Viktora bezlitosne. Wiecie, jak go lubię i cenię. Ta jego historia diabelnie mnie drasnęła. Uważałem go i uważam za człowieka interesującego. Ale jego sprawa jest nie tylko jego sprawą, lecz sprawą człowieka. Oczywiście, nie człowieka w ogóle, ale tego, który jest wypadkową wielu uwarunkowań, konkretnego człowieka z konkretnego środowiska i konkretnego czasu. Przeanalizować to. Zbadać. Ustalić. Dojść do naukowego potwier-



zenia faktów pozornie niesprawdzalnych. To piekielnie trudne. Ale jest tu nas kilku naukowców. Medyk, psycholog, Borzan — specjalista od charakterologii naukowej, no i może trochę ja. Ta sprawa musi podlegać potwierdzeniu w obiektywizacji naukowej. To może być ciekawy ciąg dalszej naszej rozmowy.

RZECZYWIŚCIE, zapowiadał się ciąg dalszy. Chociaż Lucjan i Wera wymknęli się chyłkiem ku roztańczonemu już salonikowi, na werandzie — prócz wyzwanym przez Czesława dwóch doktorów, jednego doktora-docenta, pozostał, milczący jak grób, Edward, zawsze wszystkiego ciekawa Jadwiga, ojciec Czesława i potrzebujący nagle świeższego powietrza gospodarz.

Oczywiście, Czesław zaczął. Z płynnego wywodu argumenty wyskakiwały, jak cyfry w liczniku taksówkowym. Teza — przesłanka — dowód — wnioski. Mimo chłodnego tonu czuć w tym było żar i pasję. Czesław wystrzegł się wulgaryzacji. Przy pewnych dowodach i wnioskach stawiał lojalnie pytańki zastrzeżeń. Nie przeceniał swoich argumentów. Przypatrywał się im z nieufną sympatią. Akceptował tylko argumenty o niezbitej sile.

Sprawa Viktora była bardzo skomplikowana. Nie można jej sprowadzać do szablonowego konfliktu miłosnego. Jego kilkuletnie narzeczeństwo z Joasią nie zostało zerwane prymitywnym wkroczeniem trzeciej osoby. O żadnym trójkącie mowy być nie mogło. Sprawa rozgrywała się tylko między dwójgim ludzi, których wiele łączyło i na pewno nie mało jeszcze przez długie lata łączyć będzie. Gdy miesiąc temu zrezygnowali z ukrywania faktu, że drogi ich ostatecznie się rozeszły, zdziwienie wszystkich znajomych było większe od smutku, chociaż i Wiktor i Joasia cieszyli się powszechną niemal sympatią a może nawet przyjaźnią.

Zdziwienie to wykluczało początkowo jakąkolwiek rozmową

interpretację zaskakującego wszystkich rozstrzygnięcia tamtej — jak sądzono — prostej, radosnej sprawy dwóch serc. Dopiero dzisiaj występowały wyraźnie te związki i zazębienia, te prawa i uwarunkowania, które wyjaśniały tajemnicę.

Czesław jeszcze raz podkreślił, że nie jest to tajemnica Viktora i Joasi, że nie jest to problem uczucia, które przywykliśmy określać jako miłość, lecz problem człowieka jako produktu swojej epoki, jako zespołu elementów, określonych ich uwarunkowaniami genetycznymi, jako wypadkowej siły, podległych kryterium naukowej sprawdzalności.

ZPRZEKONUJĄCEGO wywodu Czesława wynikały przekonujące i logiczne wnioski. Nad sprawą Viktora i Joasi zaciążyło prawo uzasadnionego socjologicznie dziedziczenia konwencji uczuć. Uczucie jako reakcja podlegająca wszystkim uwarunkowaniom zewnętrznym oscyluje tylko w granicach, określonych głównymi cechami jej zewnętrzności. Inaczej odczuwa piękno obrazu człowieka, wyrastający w środowisku, którego cechą niejako przyrodzoną jest wykształcona w ciągłym kontakcie z dziełami sztuki większa wrażliwość na wartości estetyczne, a inaczej na obrazy patrzy człowiek, który wrażliwy w grupie ludzi nie posiadających warunków na kształtowanie w sobie tej wrażliwości. To jasne. Tak samo inaczej pojmuję miłość człowiek, który przez kilka pokoleń przygotowywany był do zrozumienia jej w granicach konwencji ustalonej warunkami bytowania jego grupy, a inaczej znów ten, który w innej grupie wzrastając, innym ulegając determinantom, inne wyrobił sobie pojmowanie tego uczucia. Wspólna wszystkim grupom potrzeba miłosnego związku ciał nie likwiduje tych różnic, ponieważ — po pierwsze: nie stanowi ciągłej dominancy omawianego tu stanu uczuciowego, po drugie: sama poddana jest konwencji, obowiązującej w ramach danej grupy. W konkretnym wypadku Viktora i Joasi mamy do czynienia z dwiema odmiennymi konwencjami, które były z sobą sprzeczne. Wiktor pojmował miłość jako żywioł, jak tlen, jako coś, co zobowiązuje obydwie strony do wszystkiego. Był synem małego urzędnika na poczcie. Joanna traktowała miłość jako dodatek, jako wygodną podróż, która łączy wspomnieniami i technicznym ułatwieniem pokonywania w drodze życiowych trudności. Była córką znanego rodu obszarników. Oboje byli bardzo inteligentni. Oboje nieustępliwi, wierni swoim konwencjom. Musieli się rozsejść. Dlatego też — rozeszli się.

CZESŁAW obraziłby się na każde streszczenie jego wywodu. Każde streszczenie upraszcza tok jego myśli. Mówił długo, precyzyjnie i przekonująco. Gdy doszedł do ostatecznej konkluzji, brzmiała jak stwierdzenie nieodwracalnego faktu.

Była w tym stwierdzeniu nuta triumfu, ale był i wyczuwalny podskórnie żal. Nie nazwany żadnym słowem zawisł na chwilę w przykrej ciszy, dopóki nie wypełnił jej tubalnym, lecz ciepłym głosem dr. Bednorza.

— Tak. Dlatego się rozeszli. Raczej należałoby powiedzieć: także dlatego. Ja, proszę państwa, nie jestem mówcą. Lancetem mi łatwiej niż słowem. Ale Czesław tu wyjaśniał człowieka. To, co się musiało stać z Viktorem i Joasią, stało się i z innymi, że tak po-

wiem, medycznych powodów. Cóż, proszę państwa. Przykra sprawa. Maj, bzy, muzyka, że tak powiem, dusza — to ładna rzecz. A człowiek jest, że tak powiem, rzecz cielesna. Ja nie jestem mówcą. Ale dzisiaj trzeba. Ma rację Czesław. Tu już nie chodziło o Viktora i Joasię. Trudno. Stało się i nie odstanie. Ale chodzi, że tak powiem, o możliwość przejścia człowieka. Ja też myślałem, że to wielka rzecz. A jak pierwszy raz w latach studenckich zobaczyłem w prosektorium trupa, jak mi go rozłożyli na częścieczki, jak każde ścięgno, każda kość, każda żyłka musiała być taka a nie inna, jak wiedziałem, że pod palcem tu wyczuję to, a tam tylko tamto i inaczej być nie może, jak widziałem kawalarzy, którzy znudzeni ćwiczeniami, chcąc zadziwić bezczelnością koleżanki, truposzowi coś tam odcięli i gdzieś tam włożyli, jak później przez dwadzieścia lat oglądałem takie same sznury jelit, jak widziałem, że głupi, żółty kamyczek w kiszeczce każe tak zwanej duszy zmienić miejsce zamieszkania, no, to, że tak powiem, domacałem się człowieka. On jest cały tu, że tak powiem, w ścięgnię, w mięśniu, w tkance tłuszczowej i w masie kostnej. Cóż, proszę państwa...

Doktor Bednorz nie był mówcą, ale mówił dosyć długo. W wywodach medycznych czuł się mocniej niż w filozoficznych rozważaniach. Szokując trochę zawsze wszystkiego ciekawą Jadwigę, przedstawił sprawę Viktora i Joasi z seksuologicznego, „że tak powiem”, punktu widzenia, Joasia należała do typu femina frigida, Wiktor był niemal atletą erotycznym. Konkluzja narzucała się ostro i nieubлагaniem.

Urzekający, naukowy bezwstyd określił doktora Bednorza w spo-

kompleksu niższości przeciwko nieświadomionej sile odruchów przekory. Nie było to jednak tłumaczenie konfliktu tamtych dwojga ludzi. Przeszło już być motywacją osobistej tragedii, motywacją sprzeczności dwóch konkretnych losów. Stało się czymś więcej: rozkładaniem człowieka na czynniki pierwsze, umięjętnym sprowadzaniem dwóch liczb pozornie niewymiernych do wspólnego mianownika, czarującym w swej poprawności rozwiązaniem równania o dwóch niewiadomych.

Wynik Jellenty już nikogo nie przerażał. Wszystkich cieszył swoją zgodnością z wynikami poprzednimi.

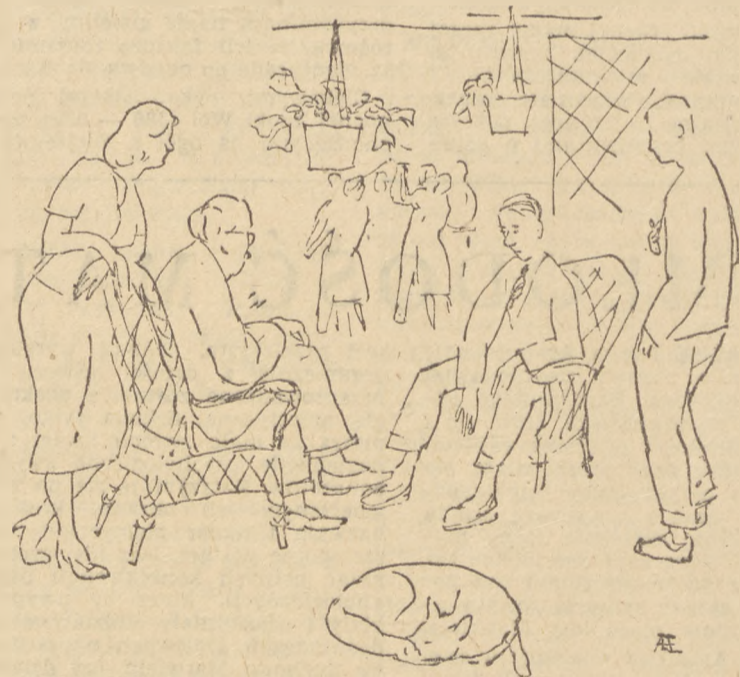
Wywód Władka, mającego idee fixe na punkcie charakterologii, siedzonej z pasją i czystym, bezinteresownym pragnieniem dotarcia do poprawnej, tzn. takiej samej jak poprzednie, konkluzji. Cytaty z Schamhardta, Lodingtona, Bidleisena, Wirtha, przyjmowane jako twarde potwierdzenie odkrytej już tajemnicy. Gdy Władek zaokrąglił już swój wywód i podsumował wnioski, z ulgą odetchnęli wszyscy, mogąc podziwiać zwycięstwo jasnej, logicznej myśli.

Tylko zawsze ciekawa wszystkiego Jadwiga szepnęła do Edwarda, że to w jakimś dziwny sposób straszne i okrutne.

Gospodarz radośnie podkreślał europejski poziom rozmowy. Stwierdził, że teraz warto napić się czegoś, co smakiem tej rozmowy dorówna.

Gdy wchodzili do roztańczonego saloniku, największym blaskiem grały złote tytuły tomów za oszkleniem dębowej biblioteki.

W krótkiej chwili zdumionego milczenia, którą zatuszowały później głośno okrzyki powitań, tylko Edward, milczący jak grób, zauważył, że refleks światła odbity od



sób jeszcze oczywistszy niż wywód Czesława odkrywał i potwierdzał nieuniknioną rozstania Viktora i Joasi.

Wszystkim przez chwilę powrócił ciszy jak przez ostre powiększające szkła ukazało się niby roentgenowskie zdjęcie tamtej sprawy. Widzieli jej wyraźnie zarysowany kościec, rozluźnienia spojeń, plamy i pęknięcia. Było w tym obrazie coś przerażającego i zwycięskiego zarazem.

Gdy Jellenta, docent psychologii, delikatnym piórkiem subtelnych uwag zaczął retuszować pewne szczegóły, gdy dzięki temu retuszowi mocniej wystąpiła zasadnicza treść obrazu, wszyscy w skupieniu i uwadze przeżywali konkretny sukces ludzkiej wiedzy o człowieku.

Jellenta oświetlał sprawę Viktora i Joasi od jeszcze jednej strony. Ukazywał walkę maskowanego

złotych tytułów drga milionem roziskrzonych pyłków w jasnym puklach Joasi.

Stała trzymając w dłoni dłoń Viktora i uśmiechnęła tym samym, co Wiktor, uśmiechem głębockiego, spokojnego szczęścia zapraszała wszystkich na ich ślub i skromne wesele. Złoty refleks w jej włosach, odbity od oszklonej biblioteki, wydał się Edwardowi uśmiechem suto oprawnych ksiąg.

Gdy towarzystwo otoczyło tamtą szczęśliwą parę, przekrzykując się w gratulacjach i życzeniach, Edward wyszedł na pustą werandę, a ponieważ trochę pozował wobec samego siebie na poetę, uśmiechnął się do bladej jeszcze, lecz już roziskrzonej srebrno w nieskończonej dali gwiazdy i chyba dla poetyckiego efektu wypowiedział cicho jedno słowo: człowiek.

Zbigniew Lewar

SP. WYD. „PAX”

Instytut Wydawniczy
zawiadania P. T. Odbiorców iż
wyszedł z druku
2-oi nakład książki
**CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ**
Bruce Marshalla
cena złotych 20,00
Do nabycia w Biurze Sprzedaży
Instytutu Warszawa
Mokotowska 43 P. K. O. Nr. 1-9515

SZTUKA TYSIĄCLECI

ZBLIŻENIE gospodarce i kulturalnie między Polską a Chińską Republiką Ludową, zwiększyło poważnie zainteresowanie się społeczeństwa polskiego liczącą kilka tysięcy lat kulturą Chin.

Bawili w Polsce wybitni chińscy uczeni, występowały zespoły artystyczne, wyświetlano pierwsze chińskie filmy, ukazało się wiele pozycji literatury chińskiej. W listopadzie oczekujemy zespołu baletowo-wokalnego, zaś w miesiącu bieżącym śledzą tłumy zwiedzających estetycznie i starannie zorganizowaną wystawę sztuki chińskiej goszczącej w murach Muzeum Narodowego po sukcesach w Moskwie i Berlinie.



Hra-Feug — Praca na własnej ziemi

Wystawa obrazuje odrębną od naszej, bardzo bogatą i wielostronną twórczość narodu chińskiego, ukazując chronologiczną kolejność jej powstawania od okresu Jang-szao (3.000 lat p. n. Chr.) aż do dzieł artystów współczesnych.

Możemy dzięki wystawie dostrzec również aktualną politykę kulturalną Chin, która dąży do ukazania rzeczywistości socjalistycznej, przełamując akademizm i cokolwiek już sztywną tradycję przy dużej dbałości o narodową formę wypowiedzi.

Okres Jang-szao reprezentuje ceramika zdobiona malowidłami lub ornamentami. Uwagę zwraca powściągliwość w zdobnictwie — oszczędny, organicznie związany z formą całości ornamentem i brak zamiłowania do dekoratywności.

Z ceramiki czarnej mamy raczej fragmenty, cokolwiek zresztą za pedantycznie rekonstruowane i konserwowane. Wspaniałe brązy, noże rytualne i trójnogi pokryte misternymi ornamentami o dziw-

nych, płynnych rytmach, należą już do następnej epoki Szang-In (1766 — 1122). Technika brązownicza stoi na wysokim poziomie rozwijając się jednocześnie ze smakiem artysty. Pojawia się malachitowa inkrustacja efektywnie i konsekwentnie zastosowana. Ceramika dzieli się teraz na białą, szarą oraz twardą i posiada barwne polewy. W okresie tym dość łatwo było o cenniejszy surowiec, chętnie więc rzeźbiono w marmurach i półszlachetnym nefrycie, którego obróbka i rzeźba jest już wprawna i staranna.

Granicą między okresem następnym Czou (lata 1122 — 256) jest słabo dostrzegalna. Okres ten cha-

ści Cing-sien, są rzeźbione figurki ludzkie i zwierzęce, które wkładano zmarłym do grobu.

Począwszy od wspomnianego wężej okresu, twórców coraz mocniej frapuje symbolika. Pojawiają się „ornamenty gromu”, znaki długowieczności, ryby i smoki na sprzętach zdobiących cesarskie pałace. Występują często daleko odbiegające od realistycznych — formy dekoratywne. Uderza rzecz charakterystyczna, mianowicie laka stonkowo niedawno jeszcze wypracowana z żywicznego utrwalacza powierzchni drewnianej — rzeźbiona jest nadzwyczaj bogato i precyzyjnie, natomiast porcelana wysubtelnia ornament ukrywając go pod polewą. Kształt porcelany nawiązuje często do dawnych brązów. Ogólnie biorąc epoka Ming (1386 — 1644) wyraźniej zaznacza ewolucję form. Wpływa na to w dużym stopniu, jak zresztą i w epoce Han, nawiązanie stosunków handlowych i kulturalnych z narodami Azji Środkowej. W połowie XIII w. Chiny zostały podbite przez Mongołów. Najeźdźcy przejmują szybko kulturę chińską i przyswajają ją sobie nie narzucając własnej. W połowie XIV w. po ustąpieniu Mongołów rozpoczyna się okres rządów feudalnej biurokracji trwający aż do objęcia tronu przez dynastię mandżurską w XVII w.

W okresie XVIII — XIX w. sztuka chińska wskutek ogólnego upadku kultury feudalnej oraz silnych wpływów europejskich traci swą wyrazistość i świeżość, do czego przyczynia się wzmocnienie produkcji wyrobów artystycznych obliczonych na eksport.

Epoka Tsing ukazuje jeszcze żywotność form chińskich, ale równocześnie łatwo przyswajają wzory obce, co nie zawsze daje tak szczęśliwe połączenie, jak w wypadku dywanów i emalii komórkowej — „cloisonné”, prześcigającej niekiedy mistrzów Europy.

Nowe prądy w sztuce chińskiej zarysowują się z początkiem XX w. przy czym lata trzydzieste przynoszą dalsze odstępstwo od wielowiekowej tradycji. Niezwykła precyzjność i siłowność wyrobów z kości słoniowej, tak rozpowszechnionych w Chinach wieku XIX jest nadal kontynuowana, jednak wartość artystyczna tych wyrobów obniża obecnie ich jasne surowe i nie zestawione barwy.

Więcej uwagi poświęcić należy malarstwu współczesnemu, które do XX w. hołduje starym tradycjom feudalnym. Nie jest to już świetność późnośrednio-wiecznej szkoły pejzażystów. Barwne koloryt i precyzyjny pejzaż ujęty graficznie, domi-

nujący wspaniałością nad sylwetkami ludzkimi staje się akademicki. Zaznaczyć należy, że akademizm jest już powoli przezwyciężany w najnowszej sztuce chińskiej. Tematycznie w przeciwieństwie do dawnego rodzajowego malarstwa dominuje batalistyka.

Wśród dziesiątków obrazów na wyróżnienie zasługuje m. in. „Sojusz między miastem a wsią” Kuei Juan wyróżniający się techniką i

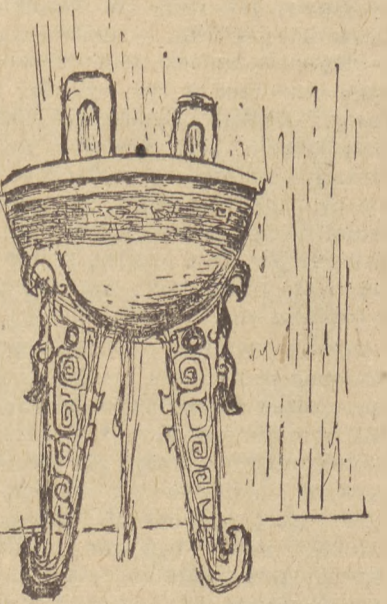


Hun — koczownik z Hetem. Rzeźba nagrobkowa. Ceramika 25—220.

kolorytem, zaś starannym opracowaniem realistycznych szczegółów, strukturą kompozycji i elementarnymi formami, przypominającymi nieco flamandczyka Breughela.

Cechą ujemną obrazów olejnych oglądanych na wystawie jest przy doskonałym rysunku drugorzędne potraktowanie koloru. W niektórych płótnach uderza przy niedostatku należytej dyscypliny kompozycyjnej — teatralne jednostronne oświetlenie modelu, intensywnym, ciepłym kolorem. O wiele więcej formy narodowej posiadają od malarstwa stalugowego — drzeworyty, np. Szu-Lu „Precz z feudalizmem”. Zachwycają barwne druki i drzeworyty: Jen Han „Podmować cały teren”, Hung-Po „W drodze do armii” oraz barwne noworoczne obrazki o temacie dziecięcej, dydaktycznej i satyrycznej.

Najmłodszą gałęzią sztuki reprezentowanej na wystawie jest niewątpliwie fotografia. Przedstawia ona — często egzotyczny dla nas — temat w sposób konkretny, rezyg-



Trojnog typu „Ting” epoka Szang-In.

nując z mglisto-teatralnych smaczków, wyróżnia się dobrą kompozycją i umiejętnym wykorzystaniem światła.

Kończymy naszą wędrowkę po epokach. Dobrze pomyślana i zorganizowana wystawa sztuki chińskiej ukazuje nam sztukę odległego przestrzenia i kulturą narodu, lecz jednocześnie bliskiego tym co najbardziej wspólne jest człowiekowi — umiłowanie piękna.

Z. A. Z.

Blaski i cienie satyry pozytywnej

W SWYM interesującym referacie na temat spraw satyry (N. K. 1950 nr 39) Antoni Marianowicz powołując się na uchwały Kongresu Satyryków, postuluje za dania i cele t. zw. satyry pozytywnej. Ma ona służyć mianowicie walce z wrogiem klasowym wewnątrz kraju i zewnętrznym przeciwnikiem politycznym. Jest to zasadnicze posłannictwo satyry pozytywnej, którą w miarę sił i możliwości realizuje Marianowicz w swym zbiorku pt. „Bez pardonu”.

Te dwa szczytne zadania satyry w Polsce Ludowej należałoby, moim zdaniem, uzupełnić trzecim, może mniej sztandarowym, jednakże bardzo istotnym. Chodzi tu o satyryczne nasświetlenie różnych bolączek naszego codziennego życia społecznego jak alkoholizm, bumelanctwo, brak kultury we współzwiązku z bliźnimi itd. Tej nuty jak najbardziej potrzebnej i pozytywnej w zbiorku Marianowicza (poza „Listem w czasów”) odczuwa się wyraźny brak. Polityczna satyra Marianowicza ma natomiast pewne cechy niepreradnej koturnowości, gdy autor obwieszcza:

„Mówimy: POKÓJ w świata
gigantofon (?)
I kto nie głuchy, ten nas dzisiaj
słyszysz...!

I dalej:

„Dziś argumenty mamy
nieodparte,
Pracę rąk naszych,
uskrzydionych planem,
Rozmach wspaniały, rozrost
nieprzerwany
I czujnych oczu pokojową
wartę”. itd. itd.

Jest w tym wierszu i deklaratywno-polityczna postawa autora, jest wyraz woli milionów ludzi, pragnących pokoju — nie ma w nim natomiast cech utworu satyrycznego. Zresztą weźmy wierszyk pt. „Podpisy” — oto jego fragment:

„Słyszycie, chcą zabijać dzieci,
Staruszkom przeciąć modlitw
nię,
Zniweczyc to co trud i myśl
Ledwie zdołali z ruin wskreszyć”.

Wygląda na to, że Marianowicz zapomina niekiedy, iż między utworem poetyckim, wyrażającym nawet najbardziej słuszne poglądy polityczno-humanistyczne, a satyrą istnieje zasadnicza różnica. O-tóż najbardziej charakterystyczną cechą utworów satyrycznych (a więc i satyryczno-politycznych) jest potępienie za pomocą ośmieszania. A więc nie patetyczność, nie deklaratywność, nie układanie w rymy swych przekonań politycznych, ale śmiech, zdrowy śmiech z poczynań przeciwnika którego ciemne machinacje oświetlamy reflektorem zrzędnego żartu.

Ale są i u Marianowicza utwory satyryczne z prawdziwego zdarzenia. Do nich należy przede wszystkim „Przymiarka”. Jest to krótki obrazek satyryczny, w którym dialog prowadzi „hitlerowiec przymierzający mundur przed lustrem” i „Amerykanin w roli krawca”. Dobra jest również „Carmagnola”, oplisująca pobyt gen. Eisenhowera w Paryżu (utwór nagrodzony na konkursie ZLP i Min. Kultury i Sztuki). Dowcipny, choć może nieco przeszarżowany jest wiersz pt. „Mr. Morgenfeller”, pietnujący miliardów amerykańskich. Dyskretna w wyrazie a jednocześnie mocna w założeniu jest „Bajka o dwóch piórach”.

Z fraszek na wyróżnienie zasługują „O piłaku” i „Na tenora”. Fraszki polityczne — słabe.

Jeśli chodzi o przekłady z Heinego i innych poetów niemieckich — ponieważ: 1) przekraczają one ramy satyrycznej twórczości Marianowicza a 2) sprawiają wrażenie przypadkowo dołączonych do omówionego zbiorku — należałoby o nich pomówić raczej przy innej okazji.

G. K.

*) Antoni Marianowicz — „Bez pardonu”, „Biblioteka Szpilek” t. 14, ilustr. J. Lenica, „Czytelnik” 1951 str. 78.

„MŁODOŚĆ MATWIEJA”

KSIĄŻKĘ Iwana Aramilewa*), która ukazała się niedawno nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego, czyta się z niewątpliwym zainteresowaniem. W dużej mierze przyczyniają się do tego piękne opisy tajgi syberyjskiej oraz z prawdziwą swadą artystyczną skreślone sceny myśliwskie. Stwarzają one piękne tło, w które autor zrezygnuje i bez posmaku taniej sensacji wplata awanturki nieco losy Matwieja.

Iwan Aramilew analizuje w swej książce rozwój myśli rewolucyjnej wśród ludu syberyjskiego w okresie wojny rosyjsko-japońskiej 1905 roku. Z mozaiki typowych przedstawień opisywanych przez autora środowisk wyjątkowo przebiega przewodnicząca tendencja społeczna, iż narastanie świadomości rewolucyjnej ludu prowadzi w konsekwencji do zawarcia przymierza z robotnikami, jeżeli ruch rewolucyjny nie ma zatrzymać się w połowie drogi. Taką jest akcent końcowy książki, który podsumowuje doświadczenia dziadka Spiridona i jego wnuka Matwieja. Stary myśliwiec syberyjski, Spiridon, nauczył się wiele w więzieniu, które w ówczesnej Rosji stanowiło niekiedy uniwersytet rewolucji. Wzięcie zbliza go do rzęs robotniczych, włacza w ich szeregi, w nich bowiem widzi siłę zdolną przeobrazić los ludu na lepsze.

Autor nie poszedł tutaj najłatwiejszą drogą i chociaż myśl jego

jest przejrzysta, jednak wyrasta organicznie z całości utworu i przeprowadzona została z dyskrecją artystyczną. Szkoda tylko, iż pisarz za mało zwrócił uwagi na pogłębienie psychologiczne swych bohaterów. Zatrzymuje się na zewnętrznym ich obrazie, kreśląc barwnie i nader plastycznie poszczególne postaci, lecz nie wyciągając pełnych konsekwencji psychologicznych, które by wypukliły i uzasadniały oddziaływanie doświadczeń życiowych na postawę ducha Matwieja czy dziadka Spiridona. Brak ten wynika, moim zdaniem z nadmiernej obiektywizacji, do której autor, jak wolno przypuszczać, zmierzał zupełnie świadomie. Być może, iż wpłynęła na to również, przynajmniej częściowo, forma pamiętnikarska, jaką postuluje się autor w przedstawieniu czytelnikowi dzieł Matwieja. Staranie się, by uniknąć przerostów psychologizmu, o które niezwykle łatwo przy tego rodzaju formie, sprzyja nadmiernemu rozwinięciu elementu narracyjnego, przy czym osiąga się wówczas nieraz efekt wprost przeciwny — zesrodkowanie uwagi na świecie zewnętrznym doprowadza do zaciemnienia, zatarcia ostrzejszych konturów psychiki bohatera. W tym wypadku rozplątały się one zwłaszcza w pięknych opisach syberyjskiej przyrody i barwnych scenach polowań.

Pomimo jednak tego zastrzeżenia książka Aramilewa bezspornie zaliczyć możemy do rzędu dobrych, chociaż autor nie nadał jej pełnia owych dzieł, które ogniskują w sobie potężną namienność epoki, zamykają nieujarzmioną

moc ducha ludzkiego, rozrywają szablon i groble konwenansu, stanowią kamienie przydrożne naszej nieustannej wędrówki ziemskiej. Ale czy tylko takich książek potrzebujemy? Wielekto czytelnik pragnie rozluźnić wodzę swego wewnętrznego napięcia wyrwać się na chwilę ze splezionych burzą czasu nurtów życia i cieszyć się urokiem głazki, kędy tylko słabsze podmuchy wicherów uderzają o brzegi.

Takim właśnie spokojem tchnie powieść Iwana Aramilewa. Z jej kart przebiega surcwy, lecz urzekający aromat tajgi, pieśń radosna a twarda. Odolają się to w sposób charakterystyczny na bohaterach tej książki. Są to ludzie, którzy współżyją z tajgą, rozumieją i odczuwają ją, tworzą z nią razem harmonijną całość.

Z tego, co napisałem, możeby ktoś nabrać przekonania, iż pakuję Aramilewa wraz z jego utworem do szufladki z napisem „sielanka”. Nic podobnego. Życie nieraz stwarza sytuacje, które grają pełnią namienności nie zawsze jednak muszą one wnosić osad smętku i pesymizmu poprzez narosty historii czy jakiejś nerwowości. Tego właśnie unika Aramilew, wiążąc losy swych bohaterów z życiem tajgi, starając się przedstawić świat, w którym wyczuwa się szeroki oddech. Trudno to zjawisko sprezywać dostatecznie ostro, lecz ono przede wszystkim stanowi ową differentialem specyficzną konwencję artystyczną Aramilewa, sprawiającą, iż czytamy jego powieść z prawdziwą przyjemnością.

*) Iwan Aramilew „Młodość Matwieja”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1950 r. Str. 323. Przekład autorowi owany Tadeusza Osiańskiego

Józef DUŻYK

POLSKA PRZED WIELKĄ ROCZNICĄ

Każdy miesiąc, każdy niemal dzień przynoszą ciekawe odkrycia, nieraz rewelacyjne i niepospolite. Łopata prehistoryka z coraz większą precyzją wdziera się w głąb polskiej ziemi i głosi jej starożytność i słowiański charakter. To, co było dotąd dla nas niezbadaną tajemnicą, osnutą mgłami i mrokiem głębokiej nocy, staje się obecnie, dzięki niezwykle udoskonalonym metodom pracy prehistoryka, faktem niezbitym, niezaprzeczoną, a przede wszystkim jasnym i wiadomym. Prehistoryka przynosi wieść o tym, czego z powodu braku źródeł pisanych nie odkrył historyk. W roku Millenium (1960) staniemy przed narodem i światem ze świadectwami udowodniającymi jak na dłoni, że już tysiąc lat temu byliśmy państwem zorganizowanym, pełnym sił.

Badania nad początkami Państwa Polskiego, które w obecnej chwili — dzięki poparciu Rządu RP — są już bardzo zaawansowane, powinny interesować cały naród. Pisał Antoni Gołubiew¹⁾, że „na obchód tysiąclecia czekamy z niecierpliwością i w uroczystym nastroju. To, co się działo przed laty tysiącem nad Wisłą i Odrą, było decydujące dla nas — ludzi tak odmiennych, tak różnych, stojących przed tak innymi, nowymi problemami”. A dalej pisze szlachetnie autor „Chrobrego”, iż „trzeba się szczerze cieszyć, że do obchodu rocznicy tysiąclecia zabrano się u nas nie w grudniu, czy listopadzie 1959 roku. Wówczas bowiem groziłby nam zalew już jubileuszowych frazesów, banałów, płytkich sądów i powierzchniowych uogólnień — jednym słowem groziłby nam zalew blagi”. Badania początków Polski to sprawa ogólnonarodowa, nasza wspólna; to nie jest sprawa interesująca wyłącznie, jak to nieraz bywało, zamknięty klan uczonych.

„Dziś i Jutro” poświęciło już kilka artykułów tym sprawom²⁾. W kilku zaledwie artykułach podkreśliło doniosłość tych badań i zapoznało czytelników z sytuacją w poszczególnych punktach Polski (Tyniec, Wawel). Obecnie — po kilku owocnych i pełnych w odkrycia latach badań — chcemy naszkicować całościowo polskie prace wykopaliskowe, podkreślając głównie odkrycia z r. 1950. Uwagi poniżej z koniecznością muszą się ograniczyć do rzeczy najistotniejszych i dlatego będą szkicowymi i niezupełnymi. W głównym swym zrebie będą się opierać o prace Gieysztora³⁾ i artykuły w „Przeglądzie Historycznym”⁴⁾.

PLANOWE zespołowe prace podjęto w r. 1949. Myśl ich naturalnie powstała wcześniej i przy rozpoczęciu prac służyła nawiązaniu do zamierzeń i wyników przedwojennych. W r. 1949 dnia 3 kwietnia Minister Kultury i Sztuki powołał do życia Kierownictwo Badań. Organami wykonawczymi Kierownictwa są placówki na terenie całego kraju. Dnia 1 stycznia 1950 r. utworzono w Kier. Badań wydział, który dnia 1.VII tegoż roku przekształcono w Biuro Badań nad Początkami

Państwa Polskiego w Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków. Biuro to stało się ważnym pomocniczym organem Kierownictwa w zakresie prac naukowych i informacyjno-bibliograficznych.

Utworzono również inne placówki, jak Pracownię Inwentaryzacji Grodzisk, Pracownię Atlasu Wczesnodziejowego, Pracownię Paleobotaniczną i Nadzór Konserwatorski nad pracami wykopaliskowymi. Placówki terenowe to jednostki związane z obiektami, które są przedmiotem badania. Tych placówek w r. 1948 było 12, w 1950 — 25.

W r. 1950 prowadzono prace badawcze i wykopaliskowe w: Biskupinie, Błoni, Bródnie Starym, Cieszynie, Gdańsku, Gieczu, Gnieźnie, Igołomi, Kaliszu, Kruszwicy, Lednicy, Lutomierniku, Łęczycy, Niemczy, Opolu, Poznaniu, Słęży, Strzelnie, Szczecinie, Trzemesznie, Tyńcu, na Wawelu, w Wiślicy, Wrocławiu i na Zamku Warszawskim. Widzimy, na jak szeroki skalę prowadzi się badania i ile punktów zasiała się subwencjami i pomocą. Jeszcze w r. 1948 nie myślał o tym prof. Gieysztor, gdy pisał słowa: „Przy najbardziej ofiarnej pracy prehistoryków i harmonijnej współpracy innych zainteresowanych dyscyplin, okaże się przez kilka jeszcze lat, że dalecy będziemy od możliwości prowadzenia więcej niż kilku przedsięwzięć wykopaliskowych jednocześnie”⁵⁾.

Oprócz prac normalnych, codziennych, od czasu do czasu odbywają się konferencje. M. in. odbyły konferencje w Paulinum k. Jeleniej Góry, w Krakowie, Warszawie, Szczecinie, Kaliszu itd. Nadto nawiązano kontakty z uczonymi radzieckimi i czechosłowackimi, dzieląc się z nimi wynikami i zapoznając się z ich metodami pracy.

Ważnym osiągnięciem było zorganizowanie pod kierunkiem prof. Labudy wydawnictwa źródeł objaśniających początki Państwa Polskiego (Fontes origines Polonorum illustrantes). Seria I tego wydawnictwa ma objąć całą tradycję geograficzną i historyczną świata starożytnego o ziemiach słowiańskich; II — źródła średniowieczne łacińskie, bizantyńskie i ruskie; III — źródła skandynawskie; IV — orientalne. Pozyskano współpracę pierwszorzędnych znawców poszczególnych zagadnień, jak prof. prof. T. Lewickiego, M. Plezi, Bilińskiego, Łowmiańskiego, Kuraskiewicz. Skoordinowanie przy pracach nad początkami Państwa Polskiego badań uczonych różnych dyscyplin jest bardzo ważne. Bo tylko w ten sposób osiągnie się najlepsze wyniki.

Współpraca prehistoryków z historykami, lingwistami, geologami, antropologami, geografami, biologami itd. doprowadzi do sumy wiedzy o państwie polskim, tzn. jego życiu gospodarczym, społecznym, kulturalnym i politycznym. Pisał Gieysztor, iż „w trakcie współpracy przedstawicieli tych dziedzin nauk społecznych, a nawet i przyrodniczych okazało się, że bez rewizji i ciągłego kontrolowania wspólnego planu i wyników nie mogą powstawać w sposób zadowolająco poprawny i dostatecznie szybki ujęcia ogólne, oparte na gruntownej znajomości materiału”.

Prowadzono również prace nad inwentaryzacją grodzisk, nad atlasem, nad słownikiem hist.-geogr. (w ośrodku łódzkim pod

red. St. Zajączkowskiego i Z. Stieberta), nad zagadnieniem osad słowiańskich (doc. dr K. Kolańczyk). W r. 1950 uruchomiono w Poznaniu pracownię paleobotaniczną pod kier. prof. dra K. Moldenhawera (cel: analiza materiału roślinnego nadsyłanego ze stanowisk wykopaliskowych w całej Polsce). Stwierdzono, że w okresie wczesnohistorycznym uprawiano w Polsce głównie pszenicę; ogrodnictwo stało wysoko skoro uprawiano już ogórki i winorośle.

Najważniejszym i najcenniejszym terenem pracy są jednak placówki wykopaliskowe w całym kraju, tzn. na ziemiach polski przedwojennej i polski piastowskiej, które odzyskaliśmy po ostatniej wojnie. Te ostatnie to bardzo ważne tereny, gdyż tu mimo wysiłków niemieckich (myślę o nauce hitlerowskiej) idących w kierunku udowodnienia ich germańskiego charakteru, prehistoryk polski udowodnia teraz ich polski, słowiański charakter. W całym kraju w różnych punktach tabliczki z napisem Badania pod Początkami Państwa Polskiego dają znać, że robota trwa, idzie i szybkimi krokami postępuje do ostatecznych i ważnych dla nas wyników. Dlatego też naszkicujemy sylwetkę tych prac biorąc pod uwagę odkrycia najważniejsze i najwięcej wnoszące do naukowego dorobku Polski.

W R. 1950 prowadzono prace od czerwca do października. Prowadzono je w tych punktach, które powyżej zostały wymienione.⁶⁾

Wielkopolska, Kujawy, Ziemia Łęczycka. W Poznaniu postanowiono zbadać ślady osadnictwa rzymskiego. Przy ul. Mińskiej odkryto piec i stwierdzono, że osada tujejsza pochodzi z młodszego okresu rzymskiego. Badania nad grodem na Ostrowie Tumskim przyniosły odkrycie nieznanego dotąd wału i warstwy osadniczej być może z IX wieku. W r. 1946 pod posadzką dzisiejszego prezbiterium katedry odkryto szczątki świątyni przedromańskiej pochodzącej prawdopodobnie z 2-ej połowy X wieku. Prace prowadził doc. dr W. Hensel.

W Gnieźnie kontynuowano pod kierunkiem dra K. Żurawskiego rozpoczęte w r. 1948 prace na Górze Lecha w płn. stronie od katedry. Odsłonięto wał grodowy, wał podgrodzia, część chaty o konstrukcji węgłowej. Zauważono, iż na belkach ściany znajdują się nacięcia — są to znaki ciesielskie. Znalezione również części sochy, łyżwe kościane, kości, ułamki naczyń, igły itd. W resztkach innego starszego domu odkryto rogowy, ozdobny grzebień, gliniany przęślik, amulet z kła wilka itd. W innych punktach znaleziono oprócz ułamków naczyń pławik do sieci rybackiej z kory sosnowej, drewniany rygielek do zamka, 3 łyżwy, 4 igły, trzonek do noża, rytec.

Ciekawym stanowiskiem okazał się Giecz (położony między Poznaniem a Gniezmem), gdzie pracami kierował dr Bogdan Kostrzewski i gdzie po przeprowadzeniu dokumentacji odkryto konstrukcje datowane na XI i XII wiek. Na podstawie licznych znalezisk (ostroga żelazna z kolcem gwiazdzistym, belty kuszy) stwierdzono wojskowe znaczenie Giecza do XV wieku.

Na Ostrowie Lednickim odkryto dwa groby. W jednym były

dwa szkielety dziecięce (wśród kości znajdowała się ołowiana ozdoba), a w drugim szkielet osoby dorosłej, obok którego znaleziono szklany paciorek i fragment pierścienka.

W słynnej, ale niestety mało znanej Kruszwicy pracami kierował prof. dr R. Jakimowicz (zmarł 20.I.1951 r. w Toruniu), a badania archiwalne przeprowadzał wybitny znawca polskiego średniowiecza prof. dr Karol Górski. W pracach prowadzonych w Kruszwicy chodzi o ustalenie jej znaczenia w dawnych wiekach. I odkrywając tam poczynionymi interesujemy się bardzo, bo może dać nam odpowiedź na dręczące wielu historyków pytanie, czy Kruszwica była rzeczywiście tak ważnym ośrodkiem, za jaki się ją powszechnie uważa. Jak dotąd Kruszwica pokazuje zadowolająco swe dawne znaczenie. Znalezione tu tafelki podłogowe (jedna z ornamentem plecionki romańskiej), nadtopione blachy ołowiane z pokrycia dachu, fragment cegły gotyckiej, które to szczątki świadczą o istnieniu w Kruszwicy: „1. świątyni przedromańskiej, zbudowanej zapewne z kamienia sztucznego i z posadzką wykładaną polewanymi płytkami; 2. świątyni romańskiej, zapewne kolegiaty św. Wita, prawdopodobnie zbudowanej z ciosu granitowego, z której budową pozostają zapewne w związku liczne pozostałości cbróbki granitu. Ze świątyni tej pochodzi płytka z plastycznym ornamentem romańskim; 3. świątyni gotyckiej, z której pochodzi część płytek podłogowych grubszych i ułamek cegły profilowanej”. Do ważnych znalezisk należą importy od sąsiadów. A więc z Kijowa: pisanka, gliniana gwiazda ośmioramienna. Z Pomerza: wyroby szklane, wiśniory i krzyżyk. Znalezione wyroby rogowy, monety z XI wieku (tzw. krzyżówki), metalowe (kluczyk od kłódk, sprzączki żelazne), ceramikę (miejsce znalezienia wskazuje na istnienie osady między w. VI a VIII). Znalezione wskazują na to, iż przekopana część osady kruszwickiej była dzielnicą rzemieślniczą.

KALISZ obchodził 1800-lecie swego istnienia, 1800 lat od pierwszej wzmianki Ptolemeusza. Ślady osiedla z okresu rzymskiego cesarstwa napotkano już w r. 1936 i 1943. Dalsze prace podjęto w r. 1950. Odkryto liczne paleniska i ceramikę, której większa część datuje się na III wiek po Chrystusie. Wnioski: osada powstała może w okresie późnolatańskim, na pewno istniała w III wieku po Chr. Liczne paleniska otwarte pozwalają przypuszczać, iż były tu obozowiska targowe. Osada była zapewne ważnym ośrodkiem handlowym.

W Łęczycy odkryto w grodzisku budynki, z których część była zapewne mieszkalna. Znalezione (m. in. srebrne monety) pochodzą z III wieku. W grodzisku znaleziono również rzeźbę drewnianą z XII—XIII w. Ciekawe są monety z X, XI i XII w., denar rzymski Domician (89—90), groty strzał, noże, klucze, narzędzia ciesielskie, srebrne ostrogi, brązowy trzewik, pochwy miecza, złoty pierścień, drewniany kielich, skórzan trzewiki itd. „Łęczycza w dalszym ciągu przedstawia się nam jako konsumpcyjny, a nie produkcyjny ośrodek władzy feudalnej, o znaczeniu przede wszystkim militarnym i administracyjnym. O wadze tego ośrodka świadczy wyjątkowa ilość znalezionych na miejscu cennych kruszców, przede wszystkim w postaci monet”.

Przebadano również cmentarzysko w Łęczycy-Emaus.

W Lutomierniku odkryto 21 dalszych grobów, w Biskupinie wędzarnię ryb, w Trzemesznie w r. 1949 kaplicę romańską, w Strzelnie badano otoczenie dwu kościołów romańskich: św. Prokopa i św. Trójcy.

Na Pomorzu prowadzono prace w dwu ciekawych punktach, a mianowicie w Gdańsku i Szczecinie. W Gdańsku badano pod kierunkiem prof. K. Jażdżewskiego wał z X wieku, osadę na tzw. „Prawym Mieście” przy ul. Długiej. Liczne zabytki pozwalają wnioskować, iż ludność zajmowała się grzebiarstwem, szewstwem, tokarstwem, rybactwem, tkactwem i garncarstwem. W r. 1949 wykopano w Gdańsku prastary instrument słowiański — gęśle (z końca XII lub z pierwszej połowy XIII wieku). Gród gdański był osadą produkcyjną. W Szczecinie kontynuowano prace na zamku odkrywając warstwę z końca IX lub z pierwszej połowy X wieku.

Z POMORZA przenosimy się na Śląsk. We Wrocławiu pomiedzy kościołem św. Krzyża a katedrą odkryto warstwę konstrukcji drewnianych z XIII lub XII w. Stwierdzono istnienie grodu obronnego na Sobótce po V-VI wieku, zbadano gród w Niemczy, odkryto ciekawe palenisko i budynek gospodarczy w Opolu. Ostatnio odkryto w Opolu na Zamku Piastowskim na przestrzeni 400 m kw. trzecią warstwę polskiej osady pochodzącej z przełomu wieku XII i XIII. Odkryto szczątki trzynastu chat. W Cieszynie odkryto 8 warstw z XII i XI wieku, być może nawet — wg. archeologów czeskich — z w. X. Nawiązano współpracę z prehistorykami czeskimi. Współpraca ta przyczyniła się do rozwiązania zagadnienia funkcji cieszyńskiego grodu.

Mazowsze. W Bródnie Starym odkryto skupisko żużli stwierdzające wytapienie przez mieszkańców żelaza. Na Zamku Warszawskim prace prowadził mgr Aleksandra Świechowska i inż. arch. Z. Tomaszewski. Przeprowadzono wykopy w poł. wsch. części terenu zamkowego (uliczka przy Kanonii), stwierdzono istnienie warstw czter nastoletnich, odkryto ceglano-kamienne fundamenty narożnika gotyckiego budynku.

Wreszcie Małopolska. Centralny punkt tutaj stanowi jak zwykle Wawel. O wykopaliskach wawelskich pisał A. Hrybiński w cyt. wyżej artykule. Odsyłając czytelników do tego artykułu przytoczę tylko zdanie kierownika archeologicznego, którym był w r. 1950 dr A. Żaki. Dr. Żaki w swej pracy⁷⁾ stwierdza, iż rejestr najdawniejszych śladów pobytu człowieka na wzgórzu wawelskim pozwolił „spożyć rzeź w Wawel inaczej, niż zwykle: jako na najstarsze lub jedno z najstarszych na ziemiach polskich ognisk cywilizacji, jako na miejsce dzierżone — jeśli staniemy na gruncie prasłowiańskości kultury łużyckiej — w ciągu prawie 30 wieków przez naszych przodków. Wszystko to jednak nie powinno przystępować faktowi, że poszukiwani na Wawelu centralnego grodu Wiślan i załóżka najstarszego Krakowa, dało na razie wynik negatywny”.

W Tyńcu (kierował pracami dr G. Leńczyk) badano architekturę romańską klasztoru. Ciekawe znaleziska (łącznie z przepięknymi

(Dokończenie na str. 12.)

⁷⁾ Dr Andrzej Żaki. — Z pradziejów wzgórza wawelskiego (Z odtworzenia wawelskiego, rok XX—1951, maj—czerwiec, zeszyt 5—6, str. 75—86).

¹⁾ A. Gołubiew, Tysiąclecie (Znak, nr 24, r. 1950).

²⁾ Z. Wojciechowski, Kilka słów o pierwszym Millenium (Dziś i Jutro, nr 50, r. 1950); S. Wołyniec, Do źródeł tysiąclecia (Dziś i Jutro, nr 26, r. 1951); F. Witkowski, Problem Tyńca (Dz. i J., nr 2 r. 1951); A. Hrybiński, Prace wykopaliskowe na Wawelu (Dz. i J., nr 34, 1951).

³⁾ A. Gieysztor, Polskie Badania wczesnodziejowe w r. 1950. (Przegląd Zachodni, nr 1/2 1951, str. 193—203).

⁴⁾ A. Gieysztor, Polskie Millenium (Przegl. Hist. i. 38); A. G., Badania nad początkami państwa pol. (Przegl. Hist. i. 39); art. red., Z badań nad początkami państwa polsk. (Przegl. Hist. i. 41, r. 1950).

⁵⁾ Przegląd Historyczny, t. 38, str. 391—406.

⁶⁾ Uwagi o wykopaliskach — powtarzam — to sprawozd. z prac w r. 1950. W niektórych punktach nawiązuję do odkryć w latach innych.

Andrzej ODNOWA

Z teatrów Warszawy

„SULKOWSKI” ST ZEROMSKIEGO
W NARODOWYM

C OKŁWIEK można by dziś sądzić o „Sulkowskim” uważanym kiedyś przez Zeromskiego za „kolosalną rzecz, europejskie przedsięwzięcie” — jednemu trudno zaprzeczyć: w obszernych pięciu aktach tego utworu zawarty jest ogrom rzetelnej wiedzy o ludziach i sprawach epoki oraz wnikliwych przemysłów o rozwoju i kryzysach rewolucyj. Nie wiem, który inny z polskich pisarzy umiał równie porządnie oddać atmosferę i patos historycznego przewrotu.

Zeromski widzi piękno nieprzejednanego gniewu ludu, który nie waha się wytoczyć st-umię krwi; dla osiągnięcia społecznego postępu. Zachwycają go twórcze przemiany, nowość każdego dnia, przełamywanie starych nawyków — dostrzega np. fakt, że rewolucja stwarza sobie nową, zaskakującą taktikę militarną. Ale nie obce są Zeromskiemu i zasady, jakie cychają na ruch rewolucyjny. Nie tylko kontrrewolucja z zewnątrz, choć z wielką plastyką umie ukazać i tchórzliwe kunktatorstwo przeżyjących się klas, i gorący krew intrzyg wrogię dyplomacji. Lecz rewolucja chwala sobie niekiedy na własnym łonie najgroźniejszych wrogów. Na fali rewolucyjnego odpływu pojawia się demokratyczny cesarz, maksymalistów wypiera kodyfikatory rewolucji, argumentując władzę wywołanej przez nią jednej warstwy i odcinając od jej

dobrodziejstw najpoważniejszą część
masy ludowej.

Tu tkwi źródło tragizmu „Sulkowskiego”: w niepełności rewolucji. Stąd też wypływa nastrój smutku, wisiący nad rozmowami chłopów-żołnierzy w pierwszym akcie sztuki. Wyzwalają oni innych, walczą o wolność dla panów w swoim narodzie, lecz sami pozostają w niewoli.

W tym obrazie z wielkiej epoki rewolucyjnej postać samego Sulkowskiego budzi zapewne najwięcej zastrzeżeń. Sulkowski, jednostka wybitna i szlachetna, stara się narzucić podkomendnym swoją wiarę i wolę bliskiego ich wyswo bodzenia. Wiarą tą i entuzjazm są jednak przedczesne i złudne. Próbuje w niesprzyjających warunkach walczyć przeciwko fali dziejów, Sulkowski nie dochodzi do głosu, nawet jako nowy Brutus czy Marat kontrrewolucji. Pada jako bohater tragiczny. Ta tragiczna postać przenosi przecież ze sceny w przyszłość zarówno swoje przedczesne marzenie, jak i naukę ukrytą w szlachetnym bledzie, który sobą obrazuje.

Postać Sulkowskiego odczuwamy dziś bowiem jako symbol fałszywego, choć szczytowego uroszczenia. Sulkowski czuje się przeznaczony do ocalenia narodu, wewnętrznie zobowiązany do zdobycia w sobie siły dla siebie i dla wszystkich, do odzyskania dla ludu odczynu i wolności. Wyraża się w tym nie tylko przecenienie roli wybitnej jednostki, typowe dla okresów romantycznych, lecz i aspiracja określonej klasy społecznej, którą ona uosabia. Sulkowski reprezentuje najbardziej postępową część szlachty swej epoki, lecz Zeromski, mając na oku idee zadania własnego pokolenia, myśli niewątpliwie o postępowej inteligencji swego czasu, nie wyzbytej zresztą dumnego gestu tamtej warstwy. Przecież i w sztuce współczesnej, w „Przebiegach”, Przelickiego cechuje nie tylko szlachectwo, ale zgola jakiś, choć przeniesiony na sprawę ducha, anystokratyzm. Ten indywidualistyczny gest i ta postawa nieco koturnowa, mniej nieznośne zresztą w dramacie historycznym aniżeli we współczesnym, lecz będące w obu wyrazem wygórowanego wyobrażenia o roli inteligencji, czynią nam postać Sulkowskiego trochę obcą i fałszywą. Wrażenie to pogłębiają dość bardzo młodopolskie lamania wewnętrzne na tle erotycznym, wypowiedziane się w egzaltowanym języku, który brzmi dziś dla nas mocno już anachronicznie.

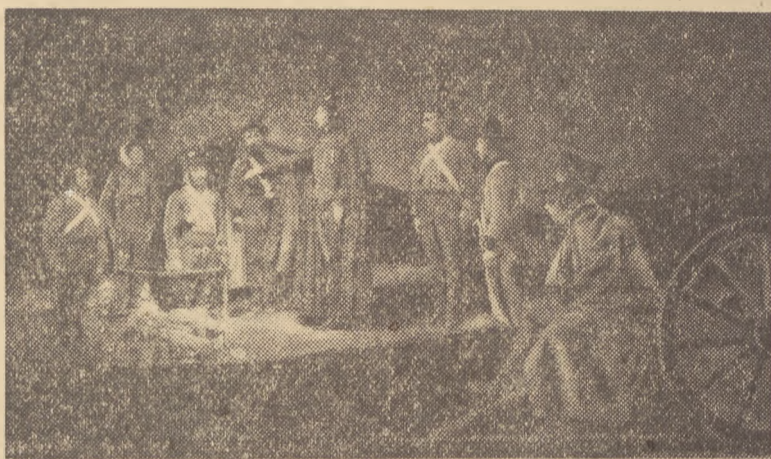
Wątek miłosny okazał się też najslabszą stroną inscenizacji *Leona Schillera* w Teatrze Narodowym. Schiller wprawdzie wyjątkowo mało skreślił w obszernym tekście Zeromskiego, a *J. Krasnawiecka*, tak świetna np. w „Jęgorze Bułczywie”, nie znalazła w sobie wspólnej tonacji z ks. Agnieszki i nie zdołała podtrzymać tekstu swą grą; wydawało się, jakby nawet nie próbowała walczyć z przerastającym jej dane zadaniem (uderzająca np. jednostajność intonacji). Kiedy i D'Antraigues *J. Słowińskiego* doniósł pod koniec roli zaczął wychodzić poza zdawkowość, cała środkowa partia spektaklu stanowiła przetrząśniętą lukę, której nie mógł sam wypełnić *Andrzej Szczepkowski*, choć bardzo interesujący w roli tytułowej. Jego Sulkowski, wymarzony w sylwetce i masce, o sugestyjnym, głębokim głosie, miał urok młodości, błyskotliwość 18-wiecznego racjonalisty, wiele demaskatorskiej i rewolucyjnej pasji. Rolą Sulkowskiego młody artysta zapowiada się jako talent ze wszechmiar godny uwagi.

Dzięki grze Szczepkowskiego zajęli aktualnością początkowe i końcowe partie sztuki, żywe u Zeromskiego, lecz ospale i ledwie poprawne w wykonaniu większości zespołu. Na wyróżnienie zasłużyli bodaj jedynie *T. Fijewski* w roli Zales'aka i *A. Różyczki* (księżna Modeny). Interesujący początkowo autentyzm roli *Venture'a* (*Wł. Grabowski*) okazał się w dalszym ciągu przedstawieniem — *manierą*.

Gra światłem i muzyką (*Zb. Turkiewicza*, o dużym ładunku emocjonalnym) spięła całość spektaklu kłamią nastroju. W samym zakończeniu przeciwnie jednak (aż do naturalizmu) patos sceny ze strzypami munduru i zbyt uproszczono nieme wystąpienie Napoleona. Przy wyraźnym niedociągnięciu ról aktorskich, tym bardziej przyjemnym kontrastem były dekoracje *Jana Kosińskiego*. W weneckim pałacu Księża szczęśliwie powiązały one miejscowe elementy stylowe z orientalnymi we wszystkich zaś obrazach zachowały umiar i równowagę ujęcia kolorystycznego.

„INTERWENCJA” L. SŁAWINA
W ATENEUM

W „INTERWENCJI” Lwa Sławina, wystawionej w teatrze „Ateneum”, oglądamy w nieco odmiennym układzie sprawy rewolucji i kontrrewolucji. To, co nie powiodło się w okresie Rewolucji Francuskiej, rozszerzenie rewolucji mieszczańskiej w powszechną rewolucję ludową, to — w bardziej dojrzałych warunkach historycznych — udało się w przeszło sto lat później w Rewolucji Rosyjskiej. Przygotowana teoretycznie i organizacyjnie, stała się ona w pełni sprawą mas. Jej pełnemu zwy-



Scena zbiorowa ze sztuki S. Zeromskiego „Sulkowski”

cięstwu nie przeszkodził nawet groźny sojusznik wewnętrznej kontrrewolucji (burżuazji, sfer militarnych, kozackiego kulactwa) z obcą interwencją z zewnątrz. Lekcje międzynarodowej solidarności klasy robotniczej zobrazował Sławina na głosnym epizodzie rewolwy w interwencyjnej flocie czarnomorskiej, rewolwy, która jeszcze i po tej wojnie przypominał jeden z jej bohaterów, André Marty („La révolte de la Mer Noire”, Paris, 1949).

W wystawieniu efektownej i aktualnej i dziś sztuki Sławina w warszawskim „Ateneum” zaszedł osobliwy paradoks. Nowo otwarty ten teatr podejmuje w tej samej siedzibie tradycje teatru Jaracza: jego zespół, wyłoniony spośród łódzkich uczniów Schillera, oparł swą pracę na zasadach zespołowości; jego reżysera *Ludwika René* znamy choćby z widowiska tak udanego i ujętego tak na wskroś w duchu zespołowości, jak nagrodzona w Festiwalu z 1949 r. „Młoda Gwardia” w wykonaniu PWST. A równocześnie pierwsza warszawska premiera zespołu „Ateneum”, prapremiera głosnej sztuki Sławina, przybiera w opracowanej w tym teatrze adaptacji *K. Konopackiej* i *L. René* pewne cechy indywidualistyczne. Na czym to polega?

„Interwencja” ma w oryginale 12 zmieniających się odsłon. W inscenizacji „Ateneum” ograniczono ich ilość do 10, a nawet w dalszych przedstawieniach do 8, przy czym dwukrotnie 2 odsłony umieszczone na tle tej samej dekoracji (dekoracje *A. Sadowskiego* i *Wł. Buśkiewicza*). Za technicznymi uproszczeniami poszły i istotniejsze zmiany w proporcjach sztuki. Intencja adaptatorów była wyraźna: w celu aktywności nurtu internacjonalistycznego skupili oni główną uwagę widza na ewolucji psychicznej żołnierzy wojsk interwencyjnych. Intencje te przeprowadzono jednak kosztem zubożenia obrazu właściwego rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Jeśli nie ukazano nawet partyzantów *Bondarenki*, indywidualny działacz podziemia musiał, na pewno mimo woli adaptatorów, wysunąć się na plan pierwszy. W ten sposób to, co w „Sulkowskim” było błędem samego autora, w „Interwencji” powtórzyło się wskutek zmian adaptacyjnych.

Wielkie widowisko, na które norwał się ambitnie małw stosunkowo teatr, zaprezentowano, mimo zmienionych proporcji sztuki, w sposób interesujący. Dzieło Sławina odsłoniło wiele z właściwych sobie jeszcze cech pierwszego okresu sztuki radzieckiej, kiedy sztuka ta była rewelacją Europy. Świeżość i rozmach pomysłów, duży kinetyzm spektaklu, zbliżający go do techniki filmowej, wielka sugestywność poszczególnych scen — zagrały w znacznym stopniu i w prapremierze polskiej. Choć stwierdzić trzeba, że sugestywność przedstawienia, duża przy podniesionej temperaturze premierowej, rozrywała się w dalszych spektaklach.

Wśród dobrze przedstawionych żołnierzy francuskich wyróżniał się *Barbaroux* (*St. Libner*), *Celestin* (*J. Rako-*

wiecki), *Jouve* (*Zdz. Tobiasz*); pysznie wyglądał *St. Gawlik* jako *Mart'ala*, a senagalczyk *Ali* (*E. Apa*) z powodzeniem wyrażał gra mimiczną wymowę ideową swej roli. *Benoit* (*J. Szulc*) był burżuazyjnym oficerkiem, przystojnym, ale zbyt demonicznym. Czołowym działaczem bolszewickim *Brodzkiem* był *Z. Maciejewski*, który przypominał trochę artystę filmowego *Ch. Boyera*, mając też wiele meskiego wdzięku i inteligencji. Z dalszych ról wyróżnić należy *L. Dutrucha* (anarchista *Filka*), *H. Barwińskiego* (aptekarz) za epizod pełen humoru, *B. Michalskiego* w trudnej roli *Zeni*, *Wł. Staszewskiego* (Pułkownik).

J. Walter i *J. Zakrzewska* jako francuzka *Jeanne* i kwiaciarka *Sania* dobrze były utrzymane w stylu swych postaci. *I. Netto* (*Madame Xydias*) miała ciekawe rysy kosmopolityzmu, ale przypominała już raczej kapitalistkę wywłaszczoną lub na emigracji.

„Interwencja” Sławina jest sztuką trudną, wymaga wiele aktorskiej czujności i napięcia. To, co zdołał pokazać młody zespół „Ateneum” w jej polskiej prapremierze, kaže oczekiwać, że zespół ten godnie podtrzymać będzie tradycję *Jaraczewskiej* sceny.

Andrzej Odnowa

KOSYM OKIEM

Rozmowy u Dydasia

NASZ przyjaciel *Kisiel* zdekonspirował, dla uczczenia jubileuszu swego 222 felietonu, nasze konszachty. Rzeczywiście przyznaje się, że w barze u „Dydasia” rozmawialiśmy „de publicis”. Przy fasolce — wyjaśnia *Kisiel*.

W tym rzecz, że nie tylko przy fasolce. Rezultatem tego powiększonego menu (jadłospisu) są zapewne filozoficzne rozważania, z których dowiadujemy się, że „Tygodnik Powszechny” zadawała się pisaniami o kulturze rzeczy poprawnych, podczas gdy my „Dziś i Jutro” mamy ambicję pisywania rzeczy odkrywczych.

„Poprawność, filozofuje *Kisiel*, to dla mnie wcale piękny ideał społeczno-kulturalny i upowszechnienia (co za straszne wyrażenie przyp. mój). Nie wierzę w odkrywczość, której nie poprzedziła szeroka i wszechstronna poprawność; w kulturze nie się nie da „zmachlować”, obejść, ominąć, przekroczyć. Przeskoczyc się udaje owszem geniuszom. Za takiego się nie uważam, więc...”

I my też, oczywiście, po cóż więc te zawiasy? Sprawa jest taka prosta. Poprawność rozumiana jako gruntowne, solidne przygotowanie jest tak samo potrzebna w kulturze jak i w murarstwie, w polityce jak i w muzyce. Nie wierzę natomiast w wartość takiej „poprawności”, która zadawała się tym, by poprawnie powtórzyć to, co wydało się przez wszystkich przyjęte.

Trzykosi oskarżał kulturę polską, że ma charakter plagiatu — w tej samej mierze *Kisielowi* ideał poprawności ma charakter plagiatu. Nie ma odwagi kwestionować, sądzić, odkrywać — tworzyć nowych myśli, nowych koncepcji, budować nowych wartości. Jeśli po *Kisielu* nie należy się tak wiele spodziewać, bo to „ptak niskiego lotu” — jak sam o sobie pisze — to jednak szkoda, że do tego niskiego lotu, do braku ambicji odkrywczych, koncepcyjnych przynajmniej również przez usta *Kisiele* — *Tygodnik Powszechny*. Przecież kultury się nie odwarza — kulturę się codziennie tworzy, buduje — odkrywa. *Przyjaciel*

Polska przed wielką rocznicą

(Dokończenie ze str. 11)

głowicami kolumn romańskich) można oglądać na małej wystawie, którą pomyslowo urządzone w obrębie klasztoru. Przykład godny naśladowania w innych wykopaliskowych placówkach. W Wyciążu koło Nowej Huty odkryto piece garncarskie typu igolomskiego.

P OWOLI zaczęto ustalać na postawie wykopalisk znacznie Wiślicy. Niegdyś był to gród znaczny, „miasto było bardzo budowne i obronne” jak w XVI wieku pisał *Marcin Bielski*. Pracami w Wiślicy kierował prof. dr *W. Antoniewicz* i dr *Z. Wartolowska*. Pozyskano współpracę wybitnego znawcy paleografii i historii średnio-wiecznej doc. dr *Zofii Budkowej* z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Badano gródzisko, odkrywając konstrukcję drewniano-ziemną. Odsłonięto zarys dwóch domów. Znalaziono ceramikę datującą się na XI-XII wiek. Znalaziono sierp żelazny, łyżwy kościane, gwizdek z kości z głową psią, paciorki bursztynowe i przęśliki. „W wyniku badań utrwała się przypuszczenie, że gród był ostatecznie zniszczony w 1135 r. przez *Rusinów i Węgrów*, którzy „gród ogniem zniszczyli”; sądząc zaś z bardzo skromnych materiałów wykopaliskowych gród został ograbiony doszczętnie”.

Badania nad Początkami Państwa Polskiego trwają. Mnożą się odkrycia, rosą sterty odgrzebywanych z ziemi zabytków. Łopata polskiego prehistoryka wydobyla je na wierzch, każąc im świadczyć o dawności Polski. Jeszcze dziewięć lat dzieli nas od Millennium. Lata te — jak pozwalają wnioskować prowadzone intensywnie prace — przyniosą jeszcze dużo i powiększą naszą zbyt dotąd skąpą wiedzę o Polsce wczesnośrednio-wiecznej. I odkryją oczom człowieka z XX wieku życie jego przodków przed laty tysiącem z górą.

Józef Dużyk

IV Koncert symfoniczny

NA IV Koncert Symfoniczny w Filharmonii Warszawskiej złożyły się utwory czterech wybitnych kompozytorów XIX w.

Wykonano: Wstęp do dramatu „Manfred” *Roberta Schumanna* (1810—1856), koncert fortepianowy f-moll *Fryderyka Chopina* (1810 — 1849); koncert fortepianowy Es-dur *Franciszka Liszta* (1811 — 1886) oraz uwerturę do opery „Euryanthe” *Karola Marii Webera* (1786 — 1826).

Robert Schumann jest typowym romantycznym twórcą, którego każdy akcent melodyczny jest wyrazem uczucia. Jest on wspaniałym tłumaczem muzycznym poezji *Byrona*, *Goethego* i mistyka *Jean-Paul Richtera*. Uwertura do „Manfreda” nie jest opłisowa, jest ona raczej ilustracją subiektywnych przeżyć, odzwierciedleniem nastroju dramatu *Byrona*.

Koncert fortepianowy f-moll *Chopina* — jest to utwór pochodzący z młodzieńczego okresu jego twórczości, wykonany był po raz pierwszy w 1830 roku na poezgalnym koncercie przed wyjazdem *Chopina* z Warszawy. Koncert f-moll jest typowym koncertem romantycznym nie tylko dlatego, że wyraża przeżycia osobiste (młodzieńcze uczucia miłości do *Konstancji Gładkowskiej* — na której pamiętke „stało „addagio” tego koncertu). Ale także i dlatego, że pod względem budowy daleko odbiega od klasycznych wzorów.

Wykonawczynią koncertu była pianistka *Regina Smendzianka*, znana z Konkursu *Chopinowskiego* (XI miejsce). Od czasu konkursu bardzo pogłębiła swą grę, ma bardzo ładne piano, peristą technikę, ale niestety posiada zbyt słaby ton, nadużywa piana i czasami wykazuje zbyt mało dynamiki (II część koncertu).

Koncert fortepianowy Es-dur *Liszta* jest jednym z najgłębszych i najbardziej znanych jego utworów. Jest to utwór wykazujący całkowitą dojrzałość muzycznej koncepcji, doskonale zestrojenie treści muzycznej i formy, nie będąc bezpośrednio związany z klasycznym formami, nie łamie ich jednak zbyt swobodnie, w przebiegu dzieła nie ma

różnic pomiędzy fortepianem a orkiestrą jeżeli chodzi o ważność roli. Utwór ten zachwyca swą jednością formy, pełną skalą barw dźwiękowych, głębią treści muzycznej tak w fortepianie jak i w orkiestrze, bogatą i śmiałą instrumentacją.

Koncert ten składa się z czterech części połączonych głównym motywem nadającym zasadnicze zabarwienie emocjonalne. Pełnej siły, jednolitej pod względem nastroju i wyrazu części pierwszej przeciwstawia się część druga pełna liryzmu, przechodząc następnie w *Scherzo* bogate pod względem pomysłów rytmicznych. Utwór kończy się śmiałą fantazją o charakterze marszowym, w której pojawiają się reminiscencje z poprzednich części, zamknięte ostatecznie powrotem tematu głównego.

Wykonawczynią koncertu *Liszta* była *Barbara Hesse-Bukowska* znana szopenistka, laureatka Konkursu *Chopinowskiego* (II nagroda). Mimo bardzo dobrej techniki i zdecydowanej interpretacji nie podkreśla ona jednak charakterystycznych cech stylu muzyki *Liszta*. Zbyt może „szopenowskie” wykonanie tego koncertu zaczęło chwilać jego własny, *lisztowski* klimat.

Jako końcowy numer programu wykonano uwerturę do opery „Euryanthe”. *Webera*. Jeśli chodzi o twórczość *Webera*, to stworzył on specjalny rodzaj uwertury — połączył w jedną całość uwerturę dramatyczną z dekoracyjną. Jego uwertury stanowią dekorację i zarazem syn tezę dramatyczną utworu. Uwertura do „Euryanthe” o barwie pełnej liryzmu i poezji, bogata w rverskie nastroje, oparta jest na tematach partytury. Jest to jedna z tych uwertur, które samodzielnie zdobyły sobie rangę arcydzieła muzycznego.

Znany kompozytor *Andrzej Panufnik* ograniczył się w tym koncercie do roli dyrygenta. Orkiestra pod jego dyktando najlepiej brzmiała w obu koncertach. Utwór *Schumanna* i *Webera* zostały wykonane bezbarwnie i bez wycucia.

Z. B. K.

Redaktor Naczelny: *Bolesław Piasecki*. Komitet Redakcyjny: *Jerzy Hagmajer*, *Dominik Horodyński*, *Wojciech Kętrzyński*, *Janina Kolenda*, *Mieczysław Kurczyna*, *Zygmunt Lichniak*, *Konstanty Lubieński*, *Andrzej Micewski*, *Zygmunt Przetakiewicz*, *Ryszard Reiff*, *Jan Szwykowski*.

Adres Redakcji i Administracji: *Mokotowska 43 I p.*, tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr 1-727. Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: *Kolegium Redakcyjne*. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych. Kwartalnie 5.40 złotych. Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2805/A. 2-B-42897.